AS



Nr. 35
28 SIERPNIA 1938
CENA 40 GROSZ

POŻEGNANI
MORZ
Deanna Durbin.

KRÓL STAŚ

✦

SZKIC

HANNA KŁOSIŃSKA

Kiedy dzwony katedry św. Jana ogłaszały wybór na króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego, miał pomazaniec Boży zgoła inną troskę, niż królowanie. Rozjeżdżał się wiedeńskim faetonem po Warszawie i zbierał podpisy dwunastu medyków, stwierdzając, że strój polski i sarmacka fryzura zastrzeżona w pactach conventach szkodziłaby jego zdrowiu.

Potem w gronie dam wytwornych, przymierzał przed lustrem strój koronacyjny — hiszpański i słuchając płochych rad, układał w najwymyślniejsze pozy najjaśniejszą figurę. Za złe to brano Poniatowskiemu, że uczył się, jak aktor swojej królewskiej roli i to przed tak płochem i swawolnem audytorjum. Król był młody. Aplauz uroczego jury oszołomił go zlekka, jak zapach wonnych spirytusów, takowych przedziwnych, któremi pachniały damy z arystokracji, nie skąpiące oklasków i uśmiechów dla najmilszego z koronowanych amantów.

Długo jeszcze wypominać mu będą, że „Jan Sobieski, służąc w regimencie muszkieterów za Ludwika XIV i pięknością postaci i wykształceniem zwróciwszy na siebie oczy księżny de Longueville, powrócił do Polski i prócz języka i oświecenia, żadnych obcych zwyczajów nie przywiózł. On to w zbroi pod Chocimem walczył, a w niebieskim kontuszu pod Wiedniem. Działyński w polskiej sukni posłował do Elżbiety, królowej angielskiej. W polskim stroju Jerzy Ossoliński czynił wjazd wspaniały do Rzymu" itd. itd....

Poczytano za rozrzutność, za lekkomyślność płaszcz hiszpański, brabanckie plereusy, srebrzystą perukę. Zapomniano tylko, że Karol angielski jechał na koronację w strzemionach, zawieszonych na czterystu dwudziestu jeden brylantach, że Henryk VIII, jadąc do Toweru, miał suknię przetykaną złotem, napierśnik wysadzany brylantami i łańcuch z olbrzymich rubinów, że Ludwik XIV miał w swych pokojach złotem haftowane karjatydy, zapomniano, że dwór Sasów składał się z 82 pokojowców i 26 paziów, 100 sług, rzemieślników, kapeli królewskiej, straży przybocznej, gwardji szlacheckiej, gwardji szwajcarskiej, przekraczających tysiąc ludzi, łowczych, koniuszych, kuchmistrzów, błaznów, fraucymeru, uczonych, artystów, 13 ministrów, 41 generałów i 51 pułkowników, że za pieniądze polskie wznosili Sasi swoje zamki z bajki Zwinger, Pilnitz, Moritzburg, Otwock i Königstein. — Darowano Sobieskiemu, jego róże i topole, Marysieńkę i paradne łoże ze smyrneńskiego złotego brokatu, na którem turkusami wyhaftowano wersety z Koranu, darowano Ossolińskim, że kiedy jeździli do Rzymu w konkury do siostrzenic papieża, wysypywali drogi rzymskie solą, aby na nich urządzać polską sannę, darowano Czartoryskim, że jeździli z Tatarami, Arabami, wielbłądami w setkę pojazdów i landar.

On tylko oskarżony został przed historją za marnotrawienie narodowego dobra.

Za złe brano Najjaśniejszemu Panu, że pozwalał się Repninowi poprawiać w kadrylu, choć Marcel, twórca menueta uważał króla polskiego za najlepszego ze swoich uczniów.

Miano do niego żal za poetów, artystów, malarzy, za Łazienki i zato, że go bardzo kochały kobiety.

Miano do niego żal za piękne oczy i ruchy pełne gracji, za cudzoziemców i tancerki zato, że był tylko stolnikiem, zato, że się odważył zostać królem.

Miano do niego żal za Targowicę i zato, że czekał na audjencję w przedpokojach Stakelberga i zato, że oddał swoją kochankę Repninowi, gdy tego wymagała racja stanu, i zato, że nie przystąpił do konfederacji barskiej, mówiąc do księcia Józefa zgoła nie królewskie słowa: „Wpierw trzeba zapłacić długi twoje i moje".

A już nie przebaczono mu nigdy, że przyjął tron z rąk kochanki. Serce zna powody, o których nic nie wie rozum — mówi Pascal. Serce króla polskiego znało również powody, o których nic nie wiedziała polska racja stanu. Caryca nie była wtedy jeszcze heterą, megerą, wampem, demonem i mężem stanu. Była śliczną, dwudziestopięcioletnią kobietą, kiedy ją poznał i pokochał. Miała rozum, wdzięk, słodycz uśmiechu, dwoje prześlicznych, szafirowych oczu, wspaniałe czarne warkocze, małe nóżki i białe ręce. I była pierwszą w jego życiu kobietą.

Nie mógł i nie chciał wiedzieć, że usta ukochane nazywają go pogardliwie „woskową lalką" i że przed koronacją dyplomaci otrzymali tajny rozkaz: „Jeśli się uda, niech ukoronują Poniatowskiego, o ile nie, niechaj Kayserling zrobi królem Adama Czartoryskiego".

Udało się, a król polski przyjął koronę, jak hojny dar miłości.

Nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jaką drogą idzie ukochana młodości. Że caryca nie wstydzi się swoich faworów, że nazwiska jej amatorów zna cała Rosja. Orłow, Potemkin, Zubow, Łanskoj, Jermołow — wszyscy słyszeli o nich, ale w lekkomyślnej i frywolnej stanisławowskiej Warszawie, nie wolno było przy królu mówić nic ubliżającego o carycy, która w najjaśniejszych wspomnieniach nosiła słodkie imię Catherine.

Szeptano więc sobie tylko na ucho, że amanci pełniący służbę przy carycy, biorą pensje rządowe, że imperatorowa z sekretarzem swoim mówi bez żenady o swoich faworytach, że dla aktualnego amanta jest zawsze przygotowany specjalny apartament w pałacu. Że Suworow, wchodząc do pokoju, pada przed nią na kolana, że tylko Potemkin oparł się jej czarom i przeniósł przyjaźń carowej nad fawory kochanki, a dzięki temu caryca rządzi Rosją, a Potemkin carycą. Potemkin trzyma w mocnych rękach nie tylko wodze wielkiej polityki, ale na jedwabnych sznurach prowadzi amantów. Ten, kto się jemu oprze, nie przekroczy nigdy progów sypialni carowej. Najdłużej w łaskach utrzymał się młody generał Łanskoj, bo „Łanskoj oddał się wyłącznie swej służbie, żył tylko dla swego obowiązku", co mu się zresztą dobrze opłacało, bo kiedy umarł w 27 roku życia, zostawił 7 miljonów rubli.

W wspomnieniu króla polskiego żyła jeszcze ciągle śliczna, wysoka, pełna godności kobieta, którą miał szczęście kochać.

Osnuł swoją miłość tęsknotą, dyskrecją, milczeniem i zachował ją świeżą w umęczonem i steranem sercu, pomimo wielu miłostek i przygód.

Tragedja króla polskiego polegała właśnie na tem, że nigdy urocza Catherine nie zamieniła się w Katarzynę II. Tu także należy szukać tragedji narodu.

Koronacja była zatem widowiskiem, igrzyskiem dla tłumu, tak, jak dla niego była miłą grą przed lustrem. Wstępował na tron otoczony nienawiścią „familji" tj. Czartoryskich, nienawiścią kobiet, które niedostatecznie kochał, pobłażliwą pogardą Katarzyny i ambasadorów, niechęcią narodu, ironją zagranicy, z fatalną przepowiednią, że król polski, który się nie ukoronuje w Krakowie, nie zostanie pochowany na Wawelu i nie umrze w Polsce.

Tańczył i kochał, korespondował z filozofami, skupował rzadkie sztychy, sprowadzał malarzy z Włoch i Francji, pisywał projekty wierszy dla poetów, fabrykował porcelanę, wydawał gale i asamble, szlichtady i festivale, uwodził kobiety i gromadził uczonych na obiadach czwartkowych, grywał w faraona i tryszaka, wydawał zamąż siostrzenice, szukał sobie bez powodzenia żony wśród pierwszych dynastyj Europy, przyjaźnił się z Wolterem, założył szkołę kadetów, Komisję edukacyjną i malarnię królewską, kochał serdecznie zatabaczonego i źle ubranego biskupa Naruszewicza i opracowywał z nim razem historję Polski, ratował, jak mógł Trembeckiego, genjalnego poetę i sowizdrzała, przebaczał zdradę i ucieczkę na dwór pruski Krasickiemu. — Umiał być wielkim i oświeconym w sprawach nauki i literatury i okrzyk, który się wyrwał Trembeckiemu: „Lepiej pisać dla piętnastu Ludwików, niż dla jednego Stanisława Augusta", jest hołdem, złożonym wysokiej kulturze Stanisława Poniatowskiego.

I tak wśród rzeczy błahych i lekkomyślnych, dokonywał rzeczy wielkich i ze znawstwem prawdziwego mecenasa sztuki budował sobie i swojej epoce jedyny i najpiękniejszy pomnik: Łazienki.

Stworzony na artystę, człowieka nauki, ministra oświaty i protektora poetów, jakże mógł zostać mężem stanu i żołnierzem, w tej epoce, która była sztuczną oranżerją najkapryśniejszych charakterów, wylęgarnią rokokowych kurcząt? Życie ówczesne stało całe pod znakiem głośnej aferty wydrwigrosza Francuza Ponseta, który wyłudził od Eligjusza Prażmowskiego 200.000 złotych na wylęgarnię kurcząt. Założyli dom wielki, urządzili piece, zakupili miljony jaj, które się wszystkie w cieple zepsuły.

W zatrutem cieple, płynącem od upadłych dworów Ludwików, w błękitnym czadzie płonącej bengalskiemi fajerwerkami Europy, w odurzającym zapachu perfumowanych róż rozkładała się powoli epoka rokoka frywolna, lekkomyślna, śliczna, stworzona z obłoków pudru, muślinu, gorsetów à la Pompadour, kanarkowych fraków, szpad z trzęsidłami „z brylantowej stali" i kapryśu Marji Antoniny.

W zamęcie i chaosie europejskiej polityki, wśród intryg, podstępów i kłamstw, między Targowicą a Barem, między Konstytucją 3-go Maja a pomrukami rewolucji francuskiej „panował" król tytularny, król z imienia, bez ziemi i narodu, zdany na łaskę tych, co go ukoronowali i na nienawiść tych, którzy przygotowywali jego abdykację.

A w dni świąteczne i dni powszednie majestat jego jaśniał z całą okazałością, taką, jaką do dziś lśni na portretach Bacciarelli'ego. Miał frak aksamitny à la Pompadour, bortami złotemi obszyty, guziki wokół brylantowe i takąż gwiazdę na środku. Biały atłas złoto haftowanej kamizelki spływały w tonie z żabotem białym jedwabnym, w którym tkwi szpilka złota i misterny zegarek wielkości srebrnika. Spodnie białe racymorowe, takież pończochy jedwabne i

Dokończenie na str. 6-tej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 35 **Niedziela, 28 sierpnia 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 35-GO:



Fot. Atlantic.

Gigantyczna tama „Boulder", wzniesiona w Black-Canyon na rzece Colorado, największa budowla, jaką stworzyły ludzkie ręce, jest ulubionem miejscem wycieczkowem turystów amerykańskich. Utworzone przez tamę jezioro, również największy tego rodzaju sztuczny basen wodny, rozciąga się na przestrzeni 200 kilometrów i jest szerokie na 70 kilometrów. Wody jego mają ożywić pustynne obszary Arizony i Kalifornji w ciągu najbliższych 5 lat.

Smak NORWEGJI



Ani geografja, ani pilne przyglądanie się mapom nie powiedziały nam, że po minięciu granicy szwedzko-norweskiej zmieni się raptownie krajobraz. Na mapie brzeg morza zarówno w Szwecji jak i Norwegji tak samo jest pofałdowany i wyrzeźbiony setkami załomów, zakamarków, cypli i zatoczek, które tworzą fjordy. Ale w rzeczywistości jest olbrzymia różnica pomiędzy temi wybrzeżami. Nie bylibyśmy się spostrzegli, że po minięciu Kornsjö pociąg począł biec po ziemi norweskiej i że przekroczyliśmy już granicę, gdyby nie raptowna zmiana widoków defilujących przed lustrzanemi szybami okien wagonu. Granica bowiem między krajami skandynawskiemi nie jest oddzielona linjami fortyfikacyj, ani kontrolą najrozmaitszych funkcjonarjuszy, którzy pilnie badają zarówno paszport jak i bagaże podróżnego, jakby szukając pretekstu, umożliwiającego niewpuszczenie cudzoziemca wgłąb kraju. Granice w Skandynawji przekracza się niepostrzeżenie; jakiś urzędnik w marynarskiem ubraniu ogląda paszporty, a drugi przebiegając szybko przez wagon zapytuje podróżnych, czy nie mają towarów do oclenia. Pociąg zaś nie zatrzymuje się ani na chwilę dłużej na stacji granicznej.

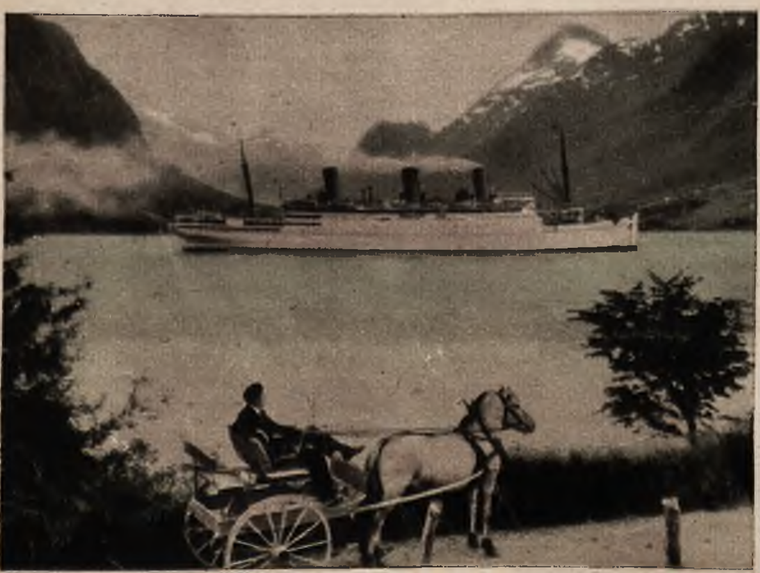
Strome brzegi fjordów, lasy tłoczące się aż do samego niemal toru kolejowego, rzeczułki wypełnione spławianem drzewem i czerwone domki otoczone soczystą zielenią — to jest Norwegja. Pola są jeszcze zupełnie zielone daleko do żniw, gdy tymczasem w Szwecji dawno zapomnieli już o tem. I niebo jest inne. Pomimo słońca przyświecającego mocno, niebo zachowało swój blado niebieski kolor. Niebo jest przeźroczyste. Brzmi to paradoksalnie, jednak określa doskonale zimny niebieski kolor, którym zabarwione jest niebo. Pociąg oddala się, to znowu przypada ku samemu niemal brzegowi morskiemu. Bowiem tor kolejowy pnie się pomiędzy skałami, wpada do tuneli przebijających góry, spływając ku wielkim maliniakom, pokrywającym

Dziewczęta w strojach ludowych.



Na prawo: Wspaniała serpentyna górska Trollstigveien — Isterdal — Romsdal.

Poniżej od lewej: Duży statek wycieczkowy na fjordach. — Łupy wyprawy wielorybniczej w porcie rybackim.





brzeg. Morze zaś jest spokojne. To wiatr, a nie fale marszczy jego powierzchnię.

Na stacjach jest pełno ludzi przypatrujących się przejazdowi międzynarodowego pociągu, który wali do stolicy. Dziewczęta w szerokich, długich spodniach spacerują osobno trzymając się za ręce, chłopcy zbici w gromadę przypatrują się otoczeniu, paląc w skupieniu papierosy. A potem coraz bardziej zaczynają się zagęszczać domki kampingowe i wille, coraz większy ruch samochodowy jest na szosie, a fjord błyszczy od białych punkcików żagli. Wiemy, że nareszcie dojeżdżamy do Oslo. Tego Oslo, które jak Neapol rozłożyło się na spadzistym, wygiętym brzegu morskim. Na dole śpiewa monotonną melodję dnia powszedniego port, w górze jest dostojny park, żwirowane aleje i pałac królewski z wartą umundurowaną w stylu przypominającą bersaljerów.

Teraz jest południe, a my leżymy na piasku plaży w Bygdoey i myślimy o Norwegji. Otacza nas gwar rozmów młodych, doskonale zbudowanych, jasnowłosych chłopców i dziewcząt. Motorówki śmigają ostro po zatoce, a senne żaglówki pchane delikatnym powiewem wiatru płyną ku głębokim czeluściom skalistego fjordu. Jeśli obrócimy nasze twarze ku miastu, to ponad ceglakami domów widzimy zielone, zalesione gęsto wzgórze. To jest Holmekollen-Mekka narciarzy całego świata. Stąd na podbój tras biegów narciarskich i skoczni całego świata wyruszają co roku norwescy chłopcy, aby zdobywać tytuły mistrzowskie dla swej ojczyzny. Co roku wyruszają do Niemiec, Szwecji, Finlandji, czy Szwajcarji i co roku przywożą wraz z pucharami tytuły mistrzów.



Laponka z dzieckiem w charakterystycznej kołysce ze skóry.

Ci norwescy narciarze oklaskiwani przez publiczność Europy są w prostej linji spadkobiercami sławy wielkich Wikingów. Opodal plaży w surowym, podobnym swemi linjami do kościoła luterańskiego budynku można oglądać łodzie, na których przed wiekami Wikingowie wyruszali na podbój Normandji i Szkocji. Dzisiaj nie każdy odważyłby się przejechać taką chybotliwą łodzią przez lekko wzburzoną zatokę, oddzielającą przystań jachtów od miasta. A Wikingowie przeprawiali się na nich przez morze Północne, zapędzając się aż na spieniony wałami fal Atlantyk. Jechali na swych łodziach co prawda nie dla oklasków, ile dla pieniędzy, dla sławy i chwały rycerskiej. Ale przecież nikt również nie oklaskiwał wspaniałego Roalda Amundsena, który na mizernym stateczku „Fram" żeglował wśród lodów bieguna Północnego, a u schyłku swojego żywota nie zawahał się ani na chwilę, tylko ruszył z pomocą rozbitkowi załogi sterowca generała Nobile.

Tacy są już bowiem ci Norwegowie. Napozór spokojni, flegmatyczni, powściągliwi. Kiedy jednak przypatrzyć się im bliżej, to wówczas można odkryć pierwiastki, zmieniające zupełnie sąd o ich mentalności i charakterze. To zapewne życie i ziemia, na której żyją wyrobiły w nich w ciągu wieków odporność, dzielność i nieustępliwość. Bez tych przymiotów dawnoby już zginęli i zmarnieli. Ziemia jest marna, ziemia daje liche żyto i owies. Klimat jest zdrowy, zimny, wietrzysty. Chociaż wiele jest ziemi, chociaż gęstość zaludnienia jest mała, to jednak na morzu trzeba szukać szczęścia i zarobków. Wikingowie w wyprawach morskich szukali nowych ziem dla swojej ekspansji i zdobywania bogactw. Ich potomkowie rozbudowali do potężnych rozmiarów flotę handlową, której bandery można spotkać we wszystkich portach świata. Po kolosach władających morzami obu półkul: Anglji, Stanach Zjednoczonych i Japonji czwarte miejsce co do wielkości tonażu statków handlowych zajmuje mała, niespełna trzy miljony ludności licząca Nowegja.

Pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Norwegji pracuje na statkach handlowych tej floty.

Dokończenie na str. 6-tej.



Na prawo: Port rybacki Svolvaet.



Na prawo: Krajobraz zachodniej Norwegji z charakterystycznym kościółkiem na pierwszym planie.



Na prawo: Dziewczęta w strojach regjonalnych z okolic północnych.



Na prawo: Renifer na tle pejzażu północnej Norwegji.

Dokończenie ze strony 2-giej.

trzewiczki z różowemi talonami. Pod pachą trzymał kapelusz trójgraniasty płaski, przy boku szpadę w pochwie białej pergaminowej, zaś w lewem ręku tabakierkę emaljowaną, z której patrzyła Wenus Tycjanowska. W majestacie dorównywał Ludwikowi XV, w elegancji sprostał nawet Jerzemu IV, którego nazywano „pierwszym gentlemanem Europy". Cokolwiekbądź mówiono o kwalifikacjach królewskich Stanisława Augusta, to pewna, że dopełniał on doskonale kondycji, uchwalonej na Sejmie Warszawskim w maju 1764. „Król polski winien być młody, czerstwy, oraz pięknej i dobrej postawy". Wiedział o tem król, zaczem chwila obejrzenia się w zwierciadle paryskiem o sześciu taflach, była jedną z najmilszych w dniu. Znał najdokładniej swe awantaże i braki. Wiedział, że wszystko w nim jest odpowiednie, a ułożenie i aparycję stolnika chwalił nawet sam Horacy Walpole".

Przegląda się więc w zwierciadle paryskiem o sześciu taflach ten pierwszy kawaler Europy, którego cyfry kreślą na lustrach, posypanych pudrem, zakochane principessy, ten rozkoszny szałaput, którego ośmielą się nazwać współcześni „koronowanym trzpiotem", gładysz nad gładysze, kawaler różany, król oświecony i bon viveur zawołany. Jeden z tych, którzy się jawnie przyznają na spowiedzi, jaką przed trybunałem dziejów odprawia rokoko: „Z nas malowani dziś tylko rycerze, szabla ze złota, koło serca pierze".

Ogląda się w lustrze i wzdycha żałośnie, z głębi pudrowanego serca:

— Byłbym zadowolony z mej postaci, gdybym był o cal wyższy, miał nogę kształtniejszą, nos mniej orli, biodra niższe, bardziej widne zęby.

Mniejsza o zęby i kształt nosa, ale ten cal wzrostu przydałby mu się bardzo, zwłaszcza — w polityce. Może uwierzylibyśmy wtedy, że był jednak wyższego wzrostu ten król malowany, pachnący, chowany w edredońskich puchach, że wśród tańca i czytania wierszy, stworzył pierwszą Akademję Sztuk Pięknych, Pierwszą Akademję Literatury, Pierwsze Ministerstwo Oświaty, Pierwszą Szkołę Kadetów i Pierwszą w Europie konstytucję, równającą wszystkie stany.

Może uwierzylibyśmy zapewnieniom Molskiego:

„Królu, jeszcze lat dziesięć spokojnego bytu,
Przyszlibyśmy do rządu, siły i rozkwitu".

Gdyby mu danem było to dziesięciolecie, może byłby umiał nagiąć pychę wielmoży i ciemnotę szlachty i swoje lekkomyślne, giętkie, marnotrawne serce — do wielkiego celu, może umiałby w słodkiem łgarstwie rokokowych haseł odnaleźć wielkość życia, może umiałby z tych obłoków pudru wyratować honor narodu i własną dumę, może nauczyłby się wreszcie wykrętów dyplomacji i stoczył walkę nietylko z Imperatrycą, ale i z romantycznym cieniem ukochanej Catherine?

Może dostrzegłby w paryskiem zwierciadle czający się za jego plecami cień Białej Damy, która wróżyła klęski Poniatowskim.

„Takim jest człowiek, jakimi są jego bogowie", więc gnie się w dwornym ukłonie Pan Najjaśniejszy w błękitnym fraku à la Pompadour przed porcelanowemi różami rokoka, ostatni herold frywolnej epoki, zdobywając historję, jak niegdyś zdobywał kobiety — uśmiechem ust i zalotnym błyskiem błękitnych oczu, na dnie których kryje się cień tragizmu.

I mimo potępienia, urazy i narodowych żalów, wygrywa walkę o serca pokoleń, bo on jeden z pośród wszystkich królów naszych, złych i dobrych, wielkich i małych, otrzymuje od narodu pieszczotliwe i czułe imię „król Staś", w którym kryje się wstydliwie sympatja i pobłażanie dla tego „koronowanego trzpiota", który był blisko wielkości, a nie umiał jej zdobyć...

Dokończenie ze strony 5-tej.

Jeżeli pomnożymy tę cyfrę przez pięć — przeciętną ilości członków jednej rodziny — to wówczas zdamy sobie sprawę, że ćwierć miljona ludzi żyje w Norwegji z dochodów osiąganych przy pracy w flocie handlowej. A ponadto flocie tej zawdzięczają swoje bogactwo potężni armatorzy Oslo i innych portów norweskich, stanowiący jedną z najbardziej zamożnych warstw ludności. Dodajmy do tego wszystkiego 103 tysiące rybaków oraz ich rodziny (około 400 tys. ludzi) to będziemy widzieć, iż około jednej trzeciej ludności żyje dzięki morzu, czerpiąc z pracy na niem swoje dochody.

To morze, które zupełnie inne jest tutaj na południu w cichych i słonecznych fjordach, a zgoła odmienne na północy, tam, gdzie zimą panuje wieczna noc, a latem białe noce. Latem pustoszeją osady i miasteczka nadbrzeżne. Wszyscy wyruszają na dalekie połowy, które mają zapewnić chleb i kartofle w zimie. Ciężką mozolną pracą trzeba zarabiać na przeżycie. Ziemia jest przecież surowa, nieurodzajna i kamienista. Tylko dla części mieszkańców może ona dać źródło utrzymania. Inni idą do wyrębu lasów, do tartaków i fabryk papieru, do kopalń i zakładów przemysłowych. Życie nie jest łatwe, tak jakby to mogło się zdawać, oglądając fotografje pięknej Norwegji.

Turyści, którzy latem zwiedzają Oslo, a potem walą na fjordy, bądź też zimą podróżują po Fimarku na saniach zaprzęgniętych w renifery oglądają zarówno krajobraz, jak i życie ludzi miejscowych przez wykoszlawiające rzeczywistość okulary. Ale na to są turystami, na to mówią hałaśliwie obcemi językami i kupują masowo „pamiątki z podróży", aby mogli widzieć zwiedzony kraj w takich barwach jak to widzą, a nie jak jest w rzeczywistości. Zostawmy jednak turystów z czerwonemi książeczkami Baedeckerów ich własnemu losowi i gadulstwu przewodników. Zostawmy również plaże z dziewczętami o długich wysmukłych nogach.

A sami skorzystajmy z zaprzyjaźnionego „Chryslera" i jedźmy za miasto. W ciszy lasu szpilkowego rozgrzanego słońcem, lasu, który jakimś cudem wyrósł na kamienistym brzegu fjordu — możemy, patrząc się na morze błyszczące srebrzyście w słońcu, pytać się naszej towarzyszki jaką jest Norwegja. Nie kiwajmy potakująco i ze współczuciem głową, gdy na początku usłyszymy zapewnienie, że po Paryżu i Londynie, po wesołych latach studenckich i przyjemnych „party" w międzynarodowym towarzystwie — Oslo, nie mówiąc już o Bergen i Stavanger, wydaje się smutnem, bezbarwnem miastem prowincjonalnem. Ale po chwili będziemy przekonywani z wielką żarliwością, że Norwegja jest pięknym, czarującym krajem. Że Szwajcarja nie może się równać z jej górami, czy terenami narciarskiemi, południowa Francja zaś nie przypomina ani w jednej dziesiątej części piękności wybrzeży morskich, a co do lasów to nie ma żadnego kraju, chyba może Kanada... Potem się okaże, że Oslo jest przyjemnem miastem, a o ludziach — jak powiada nasza towarzyszka — wiemy sami i to bynajmniej nie rzeczy ujemne.

Czy tak jest naprawdę? Czy nie przesadza pani z zielonego „Chryslera"? Pani ma niestety rację. Przewaga nie jest po mojej stronie. Pani bowiem się zostanie tutaj, przez lato będzie jeździć żaglówką po morzu, a zimą uganiać na nartach. Mnie zaś zabierze pociąg walący na Malmö i Goeteborg. To jest niesprawiedliwość. Ale szkoda jest każdej chwili czasu, szkoda jest każdego momentu, który skraca rozsmakowywanie się w dziwnym, trochę melancholijnym krajobrazie prowincji, w wesołym gwarze Oslo, w ciszy lasów świerkowych i widokach ze szczytów gór. Nie sprzeczajmy się już więcej.

Leżymy na wyprasowanym przez słońce głazie i patrzymy na blade niebo, po którem snuje się właśnie jakiś samolot o zielonych skrzydłach. Wiatr przynosi szum lasu pomieszany z dalekiem wołaniem syren statków w porcie. Nikt nic nie mówi. Słowa są niepotrzebne. Wydaje się nam przecież, że w to sierpniowe południe zdołaliśmy odkryć smak Norwegji, dziwnego kraju leżącego zdala od wielkich szlaków europejskich, od wielkich spraw i depesz agencyj telegraficznych.

J. Radzimiński.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Nowy sezon już się rozpoczął, bo na półkach księgarskich ukazały się katalogi datowane „1939". Tak jak zwykle musimy nowej edycji poświęcić cały (następny) „Kącik", bo w szczupłych ramach bieżącego numeru nie zmieściłyby się wszystkie uwagi i spostrzeżenia.

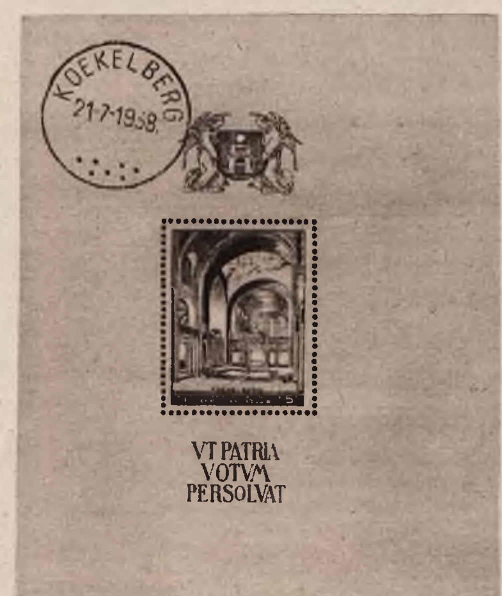
Znaczkiem za 1,20 fr. uzupełniamy bieżącą serję Liechtensteinu; nie wyróżnia się on „urodą" z pośród przystojnych zresztą towarzyszy. Nikt nie zaprzeczy, że to przesada, aby takie mikroskopijne państewko, wydało już trzeci blok. Wolelibyśmy, aby w inny sposób uczczono trzecią wystawę filatelistyczną w Vaduz.

Również zapowiedziany blok belgijski ukazał nam swoje (w kolorze lila) oblicze, ale jeśli ktoś poświęca się już specjalnie temu państwu to nie przeraża go cena 5+5 fr. Format 94×120 mm.

Jesteśmy trochę spóźnieni, jeśli chodzi o reprodukcję nowości francuskich, spełniamy jednak życzenie naszych Czytelników, którym nie wystarcza opis. Jak długo będzie w obiegu rzekomo regularny „Avignon" tego komunikaty nie podają, jak również nakładu znaczka wydanego w czasie wizyty króla Jerzego VI.

Okolicznościowa serja irlandzka zawiera dwie wartości za 2 i 3 pensy w kolorach niebieskim i czarnym, format 19×41 mm.

W. H.



Blok okolicznościowy, wydany w Belgji (budowa katedry w Koekelberg).



Dwa nowe znaczki francuskie. — U dołu na lewo: Znaczek księstwa Liechtenstein — n prawo: najnowszy znaczek irlandzki.



Blok znaczków Liechtenstein'u, wydany w czasie wystawy znaczków w stolicy kraju, mieście Vaduz 30. VII — 8. VIII).



POD ARKADAMI WAWELU

BALET LUDOWY „TANAGRA"

Nowy ROBINSON

★

NOWELA

JANUSZ MARIA BRZESKI

Rodzice jego byli zamożnymi ludźmi. Mawiali często:

Nasz majątek zapewni Edwardowi pełnię praw do życia i możność korzystania z niego.

Edward ukończył gimnazjum. W okresie pierwszych lat swych studjów uniwersyteckich, żyjąc w epoce realizmu, zaznajomił się z wszystkiemi przyjemnościami, jakie dać może pieniądz, oraz swoja i cudza młodość, niczem niekrępowana, pobudzana wzmagającem się tętnem gorącej krwi. Zdrowie, najbardziej błogosławiona spuścizna, jaka otrzymują dzieci po swych rodzicach — spoglądało radosnym blaskiem z źrenic chłopaka.

Młodość szczęściarza wspierana pozycją rodziców, siłami fizycznemi i nieprzeciętną inteligencją zapełniła się pasmem nieprzerwanej pracy i przygód, których napróżno szukają ludzie starsi. Naprawdę jednak życie Edwarda rozpoczęło się, gdy ukończył 20-cia lat. Było to któregoś gorącego dnia letniego. Edward długo przechowywał w swem biurku pewną fotografję, która była pamiątką tego właśnie dnia letniego, i która później stała się bezwartościowym dokumentem utraconych na zawsze wartości.

Dzień narodzin Edwarda-mężczyzny miał na imię: Anna. Zapytał wtedy Edward:

— Czy poszłaby pani ze mną na spacer?

Anna zgodziła się i w parę godzin otrzymała wyznanie, chwytające w tym wieku za krtań i powodujące drżenie rąk.

Na drugi dzień Edward wyjechał. Nienasycone uczucie uczyniło z pierwszych samodzielnych kroków mężczyzny — ofiarę. Listy, które Edward otrzymywał od Anny przetrwały lata. Były one starannie ułożone i związane sznurkiem. Pachniały silnemi perfumami. Zapach ten wpierw świeży i jędrny, potem sentymentalny, wreszcie nikły, przypominający zwiędłe kwiaty i z trudem dający się odnaleźć — przepadł na zawsze na krótko przed innym wielkim dniem Edwarda, kiedy papierowe obietnice, zaklęcia i wyznania zostały spalone. W wiele lat Edward żałował, że wrzucił owe listy do pieca, ale wtedy myślał tylko o znaczkach pocztowych...

Ostatni z tych pachnących listów prosił: „...i tylko mnie zawiadom o swym przyjeździe. Nie chcę aby ktoś z twoich witał Cię na dworcu. Chcę być sama, gdy wysiądziesz z wagonu".

Powrót Edwarda był radosny. Z białej pary na peronie wynurzyła się Anna — objęła Edwarda ramieniem i ucałowała go lodowatemi wargami. W saniach, białemi ulicami miasta odjechali do domu.

Dwa lata minęły bardzo prędko. Edward ukończył studja, dojrzewał i uczuł się uprawnionym do krytycznego spoglądania na rzeczywistość. Wiele rzeczy, które kiedyś później okazały się najbardziej wartościowemi klejnotami — widział jako romantyczne głupstewka — nie godne tego, by się niemi zajmować.

Stosunek Edwarda do Anny, przetrwał ogniową próbę rozłąki — lecz zmieniał się zwolna. Pierwsze odruchy szczere i bezpośrednie — zamieniały się w chłodną i wykalkulowaną strategję. Anna nie pojmująca tych przemian, a może nie spostrzegająca ich, pozostała tą samą dziewczyną, która wśród zapachu lipowego kwiecia rozpłakała się, gdy przyszło jej wyznać miłość. Zawsze jednakowo odczuwała ból, kiedy myślała o swem przywiązaniu do Edwarda.

Zdarza się, że niewinny, zapomniany papieros staje się przyczyną pożaru i zniszczenia niewzruszonych zdałoby się gmachów.

Małe nieposłuszeństwo Anny — zakończyło przygodę.

— A jednak uczesałaś się inaczej, niż o to prosiłem.

— Wydało mi się, że tak będzie lepiej...

— Ależ prosiłem cię. Powinnaś o tem pamiętać.

— Czyż nie mogę o niczem sama postanowić — zdziwiła się dziewczyna.

— Możesz. Ale tu chodzi o ciebie. Byłoby ci lepiej z loczkami...

— Czyż ja ci radzę jakie masz nosić krawaty? — odcięła nagle dziewczyna.

Edward nie odpowiedział. Wieczór nie należał do najmilszych. Siedzieli osowiali naprzeciwko siebie w jasno oświetlonej sali restauracyjnej. Wcześnie wyszli. Edward odprowadził Annę do domu i pożegnał się chłodno.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie widzieli się przez parę dni. Anna odczuła to boleśnie. Edwardowi rozłąka nasunęła myśl, że jednak może sobie dać radę sam, a więc że to uczucie, które żywił dla Anny albo nie jest tak wielkie, albo może jest zupełnie urojone i niepotrzebne.

Widywali się coraz rzadziej. Edward nasycony swą pierwszą miłością — przestał zwracać uwagę na kobiety, jak czynił to dawniej. Był grzeczny, dbały o nie, jak go nauczono w domu, ale chłodny i niewrażliwy. Być może, ten właśnie stosunek stał się powodem jego powodzenia.

Po zerwaniu z Anną — Edward rozpoczął okres, kiedy młody człowiek przed walką, która go czeka w życiu — pragnie zabawić się aż do utraty tchu. Okres ten mijał szybko, pozostawiając piętna i darząc Edwarda przeżyciami, które kiedyś miały się w nim odezwać — nie wywołując jednak echa.

Wreszcie przyszła reakcja. Najbardziej zdałoby się nieosiągalne widma młodej wyobraźni, stały się rzeczywistością, z dnia na dzień coraz bardziej powszedniejącą. Edward odwiedził swego ojca i wyraził gotowość współpracy w jego przedsiębiorstwie.

Zetknięcie się z nowym środowiskiem, naprężenie, baczna uwaga, by utrzymać się na powierzchni, subordynacja ludzi pracy i ich wyrzeczenia się, które stwarzały atmosferę czujności i przyczajonej chytrości — oszołomiły Edwarda. Życie, które gotów był już uważać za łatwe i nieskomplikowane aż do nudy — nabrało nowych rumieńców i porwało Edwarda.

Młody człowiek, po raz pierwszy w życiu dostępujący zaszczytu pracy, zdaje sobie sprawę, że jest pożyteczny i jest z tego uczucia dumny. Edward był dość krańcowy w swych zapatrywaniach i dążeniach, to też w krótkim czasie cały zagłębił się w swych nowych obowiązkach.

Po upływie pierwszych paru miesięcy, które oswoiły go z mechanizmem przedsiębiorstwa — jako nowy dyrektor — zaczął Edward myśleć o zmianach i unowocześnieniach niektórych oddziałów. W domu — nie miał nigdy czasu na posiłek — zagrzebany w stosach fachowej literatury, pomagającej mu w układaniu szerokich planów.

O ile dawniej był Edward — raczej powierzchowny w traktowaniu szeregu zagadnień — to czasy jego pracy przyniosły nowe zmiany. Edward stał się nieomal pedantem — drobiazgowym i dokładnym, jakby przeczuwał, że te przymioty są potrzebne w mądrem rządzeniu. Młodość, odwaga, szybka decyzja i stanowczość, pozwoliły w niedługim czasie przemienić Edwardowi zamożne, mieszczańskie przedsiębiorstwo ojca — w miljonowego giganta.

Ustawiczny rozrost fabryki, nieustające powodzenie, uznanie i podziw ludzi — stanowiły dla Edwarda jedynie bodziec do dalszej aktywności.

Edward pracował jak szaleniec. Fabryka rosnąca z dnia na dzień — nie była przedsiębiorstwem o ustalonym — monotonnym biegu, który wprawdzie czyni pracę jałową, ale też pozwala na uschematyzowanie czynności, a co za tem idzie, na zmniejszenie czasu pracy. Rozrost — stawiał Edwarda z godziny na godzinę, przed nowemi trud-

nościami i zagadnieniami — kazał spekulować czasem zarówno jak i giętkością słów wypowiadanych.

Prawie równocześnie, bo w odstępie paru dni stracił Edward rodziców. Fakty te wstrząsnęły nim. Uznał, że rozpamiętywanie i analizowanie ciosu, mogłoby się odbić fatalnie na jego zdolności działania i rozprzęgłoby mu nerwy. Dlatego też ani na parę dni nie oderwał się od swych zajęć.

Aby nie dopuścić ku sobie niebezpiecznych myśli — rozpoczął realizację dawno zamierzonego kartelu. Czynność ta budząca w Edwardzie instynkty pierwotnego człowieka — wyzwalająca w hazardowej grze — całą bystrość i podświadome odruchy — kazała zapomnieć ostatecznie o domu. Edward mieszkał nieomal w fabryce — będąc ciągle na jej usługach, pilnując i strzegąc swym mózgiem — olbrzyma, podczas jego niebezpiecznej przemiany.

Po paru miesiącach wytężonej pracy, która Edwardowi dała ukojenie i zapomnienie — przeszywając każdy jego nerw dreszczem nowych doznań — z mgieł i labiryntów śmiałego planu — wyłonił się nowy twór — zdolny do życia i niezwalczony. Twórca mógł odpocząć i spojrzeć z perspektywy na swe dzieło.

Mieszkanie rodziców Edwarda — którego tak dawno młody magnat nie odwiedzał — ożyło. Poza drobnemi zmianami poczynionemi po pogrzebie rodziców Edwarda — nic się tam nie zmieniło. Te same zegary wydzwaniały godziny i te same dywany tłumiły kroki uchodzącego czasu.

Edward — błądząc wieczorami po ogromnych pokojach, zauważył pewne — nieuchwytne z początku zmiany. W mieszkaniu przybyło obrazów przeszłości. Edward zdał sobie sprawę, że wiele rzeczy i wydarzeń, które do niedawna były z nim nierozerwalnie związane i stanowiły część jego żywej osobowości — teraz odsunęły się od niego — wyodrębniły, dając się obserwować jako coś nie mającego nic wspólnego z teraźniejszością.

Interesy fabryki, aczkolwiek wymagające rozległych interwencyj Edwarda — przestały bezpośrednio ciążyć na nim. Obecnie ruch maszyn nie wymagał już walki i zachodu. Edward miał coraz więcej czasu dla siebie — co po jego uprzedniej, szaleńczej pracy stwarzało zbyt silny kontrast, aby nie dał on wreszcie poczucia osamotnienia.

Mózg Edwarda przyzwyczajony do szybkiego stawiania djagnozy — podsunął myśl założenia własnego domu. Myśl ta z początku dość obca — przeniknęła Edwarda w niedługim czasie nawskroś, nie dając mu już chwili spokoju.

Mniejwięcej w 6 miesięcy po uczynieniu tego odkrycia — Edward ożenił się. Kobieta, która miała mu towarzyszyć w życiu, należała do typu przedwojennych pań, które stworzone zostały po to jedynie, by rodzić dzieci, rządzić domem i reprezentować nazwisko męża.

Pierwsze lata pożycia małżeńskiego — przyniosły Edwardowi tyle spokoju, że spowodowały zupełne zadowolenie z życia.

Dwoje dzieci — Edward kochał szczerze i poświęcał im od najwcześniejszej młodości tyle conajmniej czasu, co nadzorowi swego ogromnego przedsiębiorstwa. Dzieci też stanowiły w życiu Edwarda najdłużej, jedną z poważniejszych przeszkód w staraniach dotarcia do ostatecznego celu i kresu wędrówki.

Kiedy Edward osiągnął 38 rok życia — był już oddawna odsunięty od trosk i walki o byt. Właściwie wszystko było poza nim. Coraz dokładniej widział Edward, że to co można było i co miał dokonać w życiu — zostało już wykonane. Poczuł się jak człowiek, któremu odmówiono możności pracy. Zestarzał się, zaczęło go opanowywać odrętwienie. Przed nim nie rysowały się już żadne horyzonty.

Pozostawał dom, żona, dzieci. Dom był czemś tak doskonałem, że zaczął go nużyć. Żona Edwarda — daleka od kaprysów i nierówności współczesnych sobie kobiet, nie potrafiła go ożywić ani urozmaicić atmosfery jego domu, jak również sama pozostała zawsze tą samą spokojną i równą panią, która przed laty oczarowała Edwarda.

Bezwątpienia Edward kochał swe dzieci. Byłby dla nich poświęcił cały swój majątek i trud swego życia. Być może, że gdyby one stanowiły jego cel od pierwszych chwil pracy, aż do późnej starości — stałyby się droższe i godne wszystkiego na świecie. W sytuacji jednak, która zwolna krystalizowała nieciekawą, zmęczoną i zblazowaną wegetację Edwarda — były te dwa młode istnienia tylko nieodłącznemi fragmentami tego wszystkiego, co zaledwie przeczuwał Edward, czego jednak obawiał się panicznie: monotonji.

Coraz więcej czasu, spokojnych, niczem nie niepokojonych chwil, pozwalało Edwardowi na długie rozpamiętywania. Wczesna młodość, Anna i okres, który nastąpił po zerwaniu z nią rozpamiętywany codzień coraz uporczywiej i z większą tęsknotą — nabierał blasków bezpośredniej rzeczywistości.

Któregoś lata, gdy żona Edwarda wraz z dziećmi wyjechała na wakacje — Edward otrzymał list od Anny. Nie poznał pisma na kopercie. Niebieskie kartki — zapisane drobnem, nerwowem pismem — studjował uważnie. Anna w liście swym zapowiadała rychły przyjazd. Była fortancerką, cieszyła się, że Edwardowi dobrze się powodzi i opowiadała, że nie wiedziała co się z nim dzieje — aż dopiero kiedyś w gazecie znalazła jego podpis — wydrukowany pod bilansem handlowym.

Edward — długo obserwował charakter pisma, jakość papieru — wreszcie powąchał niebieskie kartki. Pachniały gumą arabską i atramentem. Anna nie uperfumowała swego listu. Był to pierwszy zawód jakiego doznał Edward — w poszukiwaniach cieniów przeszłości. Zawód jednak tak nikły, że nie zmniejszył ani o odrobinę radosnego drżenia po przeczytaniu listu.

W parę dni potem nadszedł drugi list, w którym Anna donosiła, że jest już w mieście, wynajęła mieszkanie i oczekuje Edwarda u siebie o 5 po południu.

Kiedy dzwonek zaterkotał i w chwilę potem otworzyły się drzwi, Edward zapomniał zupełnie o przestrodze „Zawsze naprzód i ani kroku wstecz" — i wszedł do skromnego przedpokoju, po którym tułały się resztki zapachów obiadu. Następne drzwi, do pokoju Anny — otworzył bez pukania. Ujrzał nakryty stolik pod oknem — nierozpakowane jeszcze walizki i wreszcie obcą, szczupłą sylwetkę kobiecą. Zapanowało milczenie, które przerwała Anna:

— Jesteś więc wreszcie. Tym razem nie widzieliśmy się bardzo długo...

— Dzień dobry Anno — powiedział mężczyzna, wyciągnął ramiona na przywitanie. Doprawdy, bardzo się cieszę z tego spotkania...

Ucałował dziewczynę.

— Usiądziemy i opowiemy sobie o nas Kto pierwszy? Ciągnijmy: orzeł czy reszka?

Wypadło że Anna. Podczas gdy dziewczyna opowiadała — Edward obserwował ją. Na ulicy poznałby ją bezwątpienia, a jednak Anna była kimś innym — nieomal obcą. Każde słowo akcentowane ostro— czyniło dziewczynę dalszą i bardziej nieznaną. Pomimo serdecznych spojrzeń — odczuwali oboje, że życie urobiło w nich wiele nieuchwytnych nowych cech.

Edward — wieczorem, gdy siedział w swym gabinecie—przypominając sobie każdy szczegół spotkania, doszedł do wniosku, że powtórne zbliżenie jego i Anny — musiałoby być zbliżeniem obcych osób, które właśnie się poznały.

Uporczywe próby nawiązania do dawnych nastrojów i przyjaźni, nie dały rezultatu. Po miesiącu Anna wyjechała — obiecując pisać i donosić o sobie.

Spotkanie z Anną ożywiło Edwarda, który rozpoczął poszukiwania starych znajomych. Kiedyś odwiedził dom na dalekiej, nieuczęszczanej uliczce, w którym bywał dawniej często. Na spisie lokatorów nie znalazł znajomego nazwiska, zadzwonił więc do stróżki.

— Czy nie mieszka tu już pani K.?

— Nie znam jej, proszę pana. Ale może zapytamy właścicielki domu.

Stara pani, smutna, cała w czarnych kolorach, mieszkająca wśród palm i kotów cieplarnianego mieskania — zamyśliła się:

— Czy tu mieszka pani K.?... Hm — naraz ożywiła się — Boże! ale to przecież takie dawne czasy. Już dawno temu, proszę pana, wyjechali. To znaczy córka jej ze swą ciotką. Pani K. umarła 10 lat temu...

Tego dnia Edward znalazł się w jednym jeszcze osobliwym mieszkaniu. Wchodziło się tam przez kuchnię. Kobieta z nad balji wpatrywała się przez chwilę zaczerwienionemi oczyma w przybysza, poczem wykrzyknęła: „Edward — to przecież ty!" — i sponsowiała zażenowana.

— Nie krępuj się, Marciu... pani Marciu, (wzrok Edwarda opadł na dwoje dzieci bawiących się na podłodze) — przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi!...

— Ach tak, Edwardzie — mówiła Marta zachrypniętym głosem. — Życie nie oszczędziło mnie... Piękne czasy minęły i oto patrz co mnie otacza...

Otarła ręce w fartuch i poprosiła Edwarda do pokoju, w którym na łóżku leżał mężczyzna w ubraniu i butach. Ciężko chrapał. Edward cofnął się ku drzwiom.

— Zostań — mój drogi — uspokoiła go kobieta — on nie obudzi się. Przyszedł przed godziną pijany. Wstanie wieczorem gdy będę już spać i zarząda, by mu ugotować kolację...

Po godzinie Edward przesiąknięty zapachem mydlin i zmęczony krzykiem dzieci, żegnał się z Martą, która dotychczas żyła w jego wspomnieniach jako młoda, pełna życia, pachnąca jaśminem dziewczyna.

— Czy nie wiesz — rzucił na odchodnem — co stało się z Julą... Wiesz o kim mówię... Ta wysoka, o męskim profilu...

— O ile wiem, tylko ty poszedłeś naprzód — Marta wzruszyła ramionami. Jula... Słyszałam o niej kiedyś wiele. Spotykałam ją... Podobno otruła się... Była taka zawsze zrównoważona. Nigdybym jej nie posądziła o coś podobnego...

Ciemnemi już ulicami wrócił Edward do pustego mieszkania.

Mniejwięcej w parę dni potem wyjechał w niewiadomym kierunku. Nie pozostawił żadnych wskazówek. Po paru tygodniach zrozpaczona żona wszczęła poszukiwania przez policję. Po 4 miesiącach przetrząśnięto gabinet Edwarda. Rezultaty tych poszukiwań były niespodziewane. Odnaleziono testament, mocą którego cały majątek przechodził na własność żony i jego dzieci. Pokaźne sumy — zostały przeznaczone dla paru osób, o których istnieniu pani Edwardowa dotąd nie słyszała. Wraz z testamentem odnaleziono dyspozycje dla dyrektorów przedsiębiorstwa i wskazówki dla prezesów rady. Pogodzono się z myślą, że Edward odebrał sobie życie — a powód tego czynu pozostał na zawsze zagadką. Upłynęły lata.

* * *

Nagi — zarośnięty człowiek — pochylony nad grzędami warzyw — odczuł basowy ciąg powietrza. Opuścił brudne, zniszczone ręce. Nadsłuchiwał. Tylko lekki powiew wiatru rozwiewał pióropusze smukłych palm. Ręce powróciły do pracy, kark wygiął się w kabłąk.

Wyraźny już tym razem, niski głos, znowu poruszył powietrzem. Tym razem człowiek nie mógł się mylić. Dawno zabliźnio-

Dokończenie na stronie 12-tej.

ŻYWE PUŁAPKI

Na lewo: Trzy fazy uwidaczniające, jak dzbanecznik uwięził nieostrożnego owada.



Nikogo nie dziwi fakt istnienia drapieżnych zwierząt, rekrutujących się z pośród rozmaitych grup olbrzymiego królestwa fauny, żywiących się wyłącznie pokarmem mięsnym, ani też nie zastanawia nas już wielka ilość zwierząt roślinożernych. W zdumienie jednak niejednego wprowadzić może istnienie równie „okrutnych", jak zwierzęta, drapieżnych i podstępnych roślin, których pokarm stanowią żywe owady. Stąd też zyskały one nazwę owado- lub mięsożernych.

Jakże to możliwe, aby rośliny, przytwierdzone na stałe do podłoża i nie mogące zmieniać swego miejsca, umiały chwytać zwierzęta? W jakiż sposób polują one na swą zdobycz?

Rośliny „uciekają się" do podstępu i w pułapkę zwabiają nieopatrzne ofiary. Polowanie roślin na owady najlepiej zilustrują przykłady.

Roślin owadożernych jest w porównaniu do innych roślin, rosnących na kuli ziemskiej, niezbyt wiele. Najpospolitszą, rosnącą na podmokłych, torfistych gruntach jest rosiczka (Drosera), która znajduje również miejsce w hodowli pokojowej. Nazwę swą zawdzięcza specjalnym czerwonym włoskom, znajdującym się na blaszkach rozetkowato ułożonych liści, które zakończone są kuleczkami, błyszczącemi niby kropelki rosy. Włoski te są zdradliwe. One to podstępnie zwabiają i nęcą do siebie owady, które spragnione napoju, miast rosy śmierć znajdują. Z chwilą, gdy owad usiądzie na listku, włoski zaczynają się poruszać i nachylać ku ofierze, obejmując je zwolna i zacieśniając się dokoła jej ciała, a równocześnie z główkowatych zakończeń włosków wydziela się lepki sok, który ubezwładnia owada i zaczyna trawić jego ciało. Sok ten przypomina bardzo pod względem chemicznym działanie soku żołądkowego na ciała białkowate u zwierząt i człowieka. Im więcej szamoce się ofiara, usiłując wyrwać się z śmiertelnego uścisku niewinnych napozór włosków, tem więcej wydziela się soku, który zalewając tchawki owada powoduje jego śmierć. Po skończonej uczcie, która nieraz trwa kilka dni, włoski odchylają się i wracają do pierwotnej pozycji, a niestrawione szczątki owada, jak chitynowe skrzydła lub nóżki, rozwiewa wiatr lub spłukują deszcze.

Liście rosiczki trawią nietylko ciała owadów, lecz także położony na nich kawałeczek mięsa lub sera, a więc ciała białkowate, zawierające w sobie azot. Nie reagują natomiast zupełnie na cukier, mąkę, lub jakiś inny z węglowodanów. O ile kąsek położony na liściu dla doświadczenia jest zbyt duży, liść trawi tylko jego część, a reszta niestrawiona ulega rozkładowi. Liście, które już kilkakrotnie brały udział w trawieniu, zwolna marnieją i giną, a w miejsce ich wyrastają nowe, które znowu podejmują czynność trawienia żywego pokarmu. Przekonano się, że rosiczki, które odżywiają się ciałem owadów, są o wiele silniejsze i większe od tych, które są pozbawione tej zdobyczy.

Bliski krewny naszej rosiczki — rosolistnik (Drosophyllum lusitanicum), rosnący w południowej Hiszpanji i Portugalji, który z pośród roślin owadożernych ma najdłuższe liście, od dawnych czasów w niektórych portugalskich chatach znalazł zastosowanie jako żywa muchołapka. Na liściach jednej rośliny można było nieraz naliczyć i ponad 200 much, które padły ofiarą żarłoczności rośliny. Młode listki są zwinięte pastorałowato. Im starsze, tem więcej się rozprostowują, aż wreszcie przyjmują położenie prawie równoległe do powierzchni ziemi. Na spodniej stronie tych liści, oraz na brzegach górnej części blaszki widnieją włoski, zakończone czerwonemi kuleczkami, które lśnią w słońcu jakgdyby drobniutkie kropelki rosy. Zwodnicze te liście stają się pułapką dla nieopatrznych owadów.

Również na torfowiskach i podmokłych łąkach rośnie tłustosz (Pinguicula vulgaris), którego liście ułożone w rozetkę, są pokryte licznymi gruczołkami, wydzielającymi kleistą ciecz i przez to sprawiają wrażenie tłustych: stąd też poszła nazwa rośliny. Gdy tylko jakiś drobny owad siądzie na liściu, brzegi jego zaczynają się zawijać do wewnątrz, a gruczołki natychmiast wydzielają sok trawiący i owad nie może się już uwolnić. Zależnie od wieku i sprawności liścia, zdobycz zostaje strawiona po upływie 1—3 dni i liść znowu przyjmuje normalny wygląd.

Rośliną drapieżną, która niemal dosłownie chwyta owady w potrzask, jest mucholówka (Dionaca muscipula), rosnąca na torfiastej glebie na wschodnich wybrzeżach



Żywe barwy kielichów dzbanecznika, czynią pułapkę tem niebezpieczniejszą.



Znacznie powiększone zdjęcie owada, który padł ofiarą rośliny — pułapki.

Ameryki Północnej. Na dziwną tę roślinę zwrócił uwagę w połowie XVIII wieku pewien angielski kupiec, lecz obserwacje jego zostały uznane za fantastyczne. Dopiero w kilkadziesiąt lat później muchołówka znalazła zainteresowanie u botaników. Stała się również przedmiotem badań i obserwacyj słynnego przyrodnika Darwina.

Pułapkę u tej rośliny tworzą również liście. Rozszerzający się stopniowo ich ogonek przechodzi w blaszkę, która dzieli się na dwie części, nachylone względem siebie pod pewnym kątem, przypominając półotwartą książkę. Brzegi blaszek są uzbrojone w ostre i sztywne ząbki, a na środku każdej części znajdują się po trzy włoski. Prócz nich górna powierzchnia blaszek jest pokryta mnóstwem purpurowych gruczołków, które swem żywem zabarwieniem zwabiają owady. Z chwilą, gdy owad siądzie na liściu i dotknie któregoś z sześciu włosków, natychmiast zatrzaskują się obie połówki liścia, aby już nie wypuścić złowionego łupu. Włoski „zawiadamiają" niejako liść o zdobyczy, gdyż tylko wówczas, gdy włosek zostanie podrażniony, połówki liścia zamykają się. Ostre ząbki na brzegach liścia zaciskają się wzajemnie, jak palce u rąk i owad nie może umknąć. — Z gruczołków zaczyna obficie wyciekać przejrzysty sok, który trawi ciało nieszczęśliwego więźnia.

Podobne pułapkowe liście, znacznie jednak mniejsze i liczniejsze, posiada owadożerna Aldrovandia, unosząca się swobodnie w stojących wodach Europy środkowej i południowej, znana także z Indyj i Australji. Gdy jakiś maleńki skorupiaczek, lub drobny owad wodny zawadzi nieostrożnie o włoski, sterczące na blaszce liściowej, jest już zgubiony, gdyż połówki liścia zamykają się nad nim, by następnie strawić jego ciało.

Krajową, owadożerną rośliną jest pływacz (Utricularia), będący — jak sama nazwa już wskazuje — rośliną wodną. Pomiędzy delikatnymi i postrzępionymi jego liśćmi kryje się duża ilość drobniutkich, niemal przeźroczystych pęcherzyków, które są istnemi pułapkami, zastawionemi na przepływające ofiary. Do wnętrza pęcherzyka prowadzi otworek, otoczony długimi włoskami. Zdobycz, która wpadnie w otworek, naciska leżące głębiej nieco wieczko, kóre otwiera się tylko do wnętrza pęcherzyka. To też odwrót jest uniemożliwiony. Zamknięta ofiara ginie z braku powietrza i pokarmu. A wówczas ciało jej rozkłada się i pożywne soki zostają wessane przez roślinę z pomocą specjalnych brodaweczek, które pokrywają wnętrze pęcherzyka.

Są jeszcze i inne rodzaje pułapek, które zastawiają rośliny na swe ofiary. W wilgotnych tropikalnych lasach, a zwłaszcza na archipelagu malajskim, rosną w kilkudziesięciu gatunkach dzbaneczniki (Nepenthes), które nazwę swą zawdzięczają dzbanuszkom, powstałym z przekształcenia ogonków liściowych. Rozmaitość dzbanuszków jest bardzo duża. Od kilkucentymetrowych, do półmetrowej nawet długości. Dzbanuszki o największych rozmiarach i pojemności ma Nepenthes rajah, który rośnie na wyspie Borneo. Przy długości 30 cm mogą one posiadać średnicę do 12 centymetrów. Nic też dziwnego, że śmierć w nich mogą znaleźć nietylko największe owady, lecz niekiedy nawet najmniejsi przedstawiciele świata kręgowców. Żywe barwy tych wymyślnych pułapek zwabiają do siebie liczne owady, a nawet skorpiony. Nad wylotem dzbanuszka znajduje się wieczko, którego dolna powierzchnia wydziela słodką ciecz. Zwabione owady opłacają często tę wyprawę po kuszący napój życiem. Spadają do wnętrza dzbanuszka, z którego już wydostać się nie mogą. Nie pozwalają na to zarówno śliskie i gładkie ściany dzbanka, jak i ostre zazębienie jego brzegów. Po daremnych wysiłkach wyswobodzenia się z matni, owad ginie w cieczy, którą wydzielają drobne gruczołki, pokrywające ściany dzbanka.



Znacznie powiększone zdjęcie owadu, który padł ofiarą rośliny-pułapki.



Oto jedna z wielu odmian roślin owadożernych — kapturnica.

Podobne pułapki zastawia na owady kapturnica (Sarracenia), rosnąca w kilku gatunkach na bagnistych terenach południ. części Stanów Zjedn. Ogonki liściowe, zmienione w rodzaj woreczków, przymkniętych wieczkiem niby kapturem, dochodzą do 3/4 metra: odznaczają się nieraz żywemi barwami. Na dnie woreczków lśni woda, pochodząca z opadów atmosferycznych; u wylotu zaś wydzielają się kropelki słodkiego nektaru, których ostre zakończenia skierowane są w dół i spada na dno do wody. Z pułapki niema już wyjścia. Ciało nieostrożnych owadów zostaje zamienione na pożywne soki, potrzebne roślinie.

* * *

Wszystkie pułapki roślin mięsożernych mają jedno zadanie — zamienić ciało owada na soki potrzebne im do życia, bo wszystkie rośliny dla prawidłowego rozwoju i wykonywania czynności życiowych potrzebują azotu, który z nielicznymi tylko wyjątkami czerpią z podłoża, na którem rosną. Ponieważ zaś rośliny owadożerne żyją bądź to na glebach podmokłych i torfiastych, bądź w wodzie, gdzie substancyj azotowych jest niewiele, przeto niedobór ten pokrywają przez chwytanie i trawienie ciał owadów.

Tym sposobem odżywiania się przypominają one bardzo zwierzęta, które muszą pobierać gotowy pokarm organiczny, bądź zwierzęcy, bądź też roślinny. Napozór niewinne i piękne rośliny — to nieraz najbardziej drapieżne twory przyrody.

Dr. Z. M.

Dokończenie ze str. 10-tej.

ne, odległe lata, przemówiły głosem znanych kojarzeń.

— To przecież głos syreny okrętowej — pomyślał nagi dzikus.

Zerwał się i popędził na brzeg, gdzie poszum fal kołysał go do snu, wpatrzył się w widnokręg. Był czysty, żadna plamka nie bruździła wielkich wód. Człowiek ukląkł.

— Boże, dzięki Ci — rozpoczął modlitwę...

Po chwili otworzył oczy. Lekki, szary obłok majaczył nad granatową linją morza. Mężczyzna zacisnął pięści i wpatrzył się w dal. Parowiec rósł z minuty na minutę. Wargi samotnika drżały od niewypowiedzianych słów:

— Przecież uciekłem od tych ludzi. Moje pieniądze pozwoliły mi odnaleźć pustelnię, której pragnąłem i która przysporzyła mi tyle cierpień. Teraz zaś, gdy zdołałem zapomnieć o nich — przychodzą ci ludzie, by zniweczyć wszystko, co stało się dla mnie prawdziwem życiem.

Myślał jeszcze: Może odpłyną? Może zboczyli z kursu, by zobaczyć ten ląd? Odpłyną... Rozpacz rozsadzała czaszkę. Wiedział, że wsiądzie na ten statek i przeczuwał co go czeka — tam w jego mieście po tylu latach... Już raz to przeżył...

Parowiec dał potrójne sygnały. Z hukiem wypadły kotwice i łańcuchy zadudniły w kluzach — bijąc echem o ścianę zieleni, przed którą klęczał Edward. Spuszczono łódź...

Mężczyzna zerwał się i począł uciekać. Zieleń wybrzeża wchłonęła go zazdrośnie. Na mostku kapitańskim padły słowa:

— Przeraził się... Ciekawe, jak dawno tu przebywa?...

Edward pędził przed siebie. Ujrzał swe pole, mały świat ukradziony dżungli dla eksperymentów resztek cywilizacji, których nie mógł się pozbyć.

Nagle tuż przed sobą, na mgnienie oka, ujrzał pochylony pal ogrodzenia. Chciał uskoczyć, ale spóźnił się. Ostrze, jak błyskawica wdarło się w opalone ciało i przeniknęło go dreszczem przerażenia i bólu. Ciało obsunęło się przeszyte drzewcem ku ziemi. Strach przed śmiercią ustąpił miejsca radosnej myśli, że udało się uciec jeszcze dalej przed światem i ludźmi — poczem ciężkie powieki opadły. Ostatkiem sił uniósł je i zobaczył bardzo blisko siebie — ziemię, którą tak ukochał...

* * *

Znaleziono go. Ciało było wiotkie jeszcze i ciepłe. Nie domyślano się, kim był. Nazwano go Nowym Robinsonem i pochowano na wyspie. W godzinę potem wysadzono na ląd deportowanych i zagospodarowano nową kolonję karną, poczem statek wypłynął na morze, na powitanie nadchodzącej fjołkowej nocy, która przeszła już nad Edwardem, a teraz zagarniała jego ziemię i morze.

„TAKIE NOGI — TO MAJĄTEK..."



2-GA ROZMOWA



ON: Słuchaj, kochanie, wiesz, że nie jestem zbyt wymagający — ale ten befsztyk, no!... no!...

ONA: Jest trochę twardy, to prawda. Ale zamawiasz sobie obiad punktualnie na pół do pierwszej, a jest już za pięć minut pierwsza!

ON: Zatrzymał mnie w biurze klijent, który w żaden sposób nie mógł skończyć.

ONA: Rozumiem doskonale, ale to nie moja wina.

ON: Ależ tak, napewno, ale ja znowu nie mogłem, mimo wszystko, powiedzieć mu: „Proszę pana, moja żona czeka, niech pan przyjdzie kiedyindziej".

ONA: Oczywiście. Ale przyznaj, że ja, jak wychodzę odwiedzić przyjaciółkę, to potrafię się tak urządzić, aby wrócić na czas!

ON: Tak jakby można wogóle to porównywać! Między pójściem na ploteczki, a sprawami interesów jest chyba pewna różnica!

ONA: Przynosisz z biura zawsze całe litanje różnych historyjek, które napewno nie mają nic wspólnego z twymi interesami. Wynikałoby z tego, że mężczyźni także lubią od czasu do czasu poplotkować.

ON: Zgoda, nie przeczę, kochanie. Ale zmieniasz przedmiot rozmowy! Fakt pozostanie faktem, że od czasu wojny nie jadłem jeeszcze takiej podeszwy.

ONA: Zastanów się kochanie — befsztyk trochę zanadto wysuszony — to jeszcze nie dramat.

ON: Przepraszam, to ty robisz z tego dramat. Zresztą to ciebie mniej dotyka, bo masz wolne całe popołudnie na zajadanie ciastek u twoich przyjaciółek.

ONA: Rozumie się, że mam przyjaciółki, i to do tego takie, które nie mruczą i nie narzekają bez ustanku!

ON: Co przedewszystkiem mnie gniewa, to gdy widzę, że marnuje się mięso wówczas, gdy tylu ludzi ginie wprost z głodu! Ostatecznie nie wiem, ale zdaje mi się, że jeśli nie jesteś pewna swej kucharki, to możnaby ją trochę kontrolować...

ONA: Wiesz dobrze, że Balbina odyma się, ile razy wejdę na jej podwórko.

ON: Ostatecznie, ja, widziałem zawsze. że moja matka dopilnowywała swojego pieca, a kucharka trzyma się u niej ta sama od dwudziestu lat..

ONA: Zamiast powoływać się na swoją matkę — która jest bardzo miła, to się rozumie — lepiejbyś zrobił, biorąc przykład ze swego ojca, którego nigdy nie słyszałam robiącego uwagi przy stole. Gdybyś, tak jak on, był zawsze w dobrym humorze...

ON: Zapewne z mniejszą mordęgą zarabia na życie, niż ja.

ONA: Czy może dlatego, że jest bardziej uprzejmy dla swoich klijentów?

ON: A może dlatego jest bardziej uprzejmy, że może jest lepiej karmiony? Wszystkoby się zgadzało.

ONA: Wszystkoby się zgadzało, a właśnie, gdybyś mi dawał więcej pieniędzy na gospodarstwo...

ON: To wydawałabyś więcej na swoje ubranie — na tyle cię już znam! Stanowczo, tak... tak... wszystko się zgadza.

ONA: Przynajmniej o tyle mniej przegrywałbyś na wyścigach!

ON: Na wyścigach! 180 zł. w ostatnim miesiącu na nich wygrałem! Nie stanowczo pozwalasz sobie na przesadę...

ONA: Możliwe, że przesadzam, jeśli chodzi o wyścigi, ale...

ON: ...i jeśli ci się nie podoba...

ONA: Pewno, że nie. Ciekawam, co mi się tak ma podobać?

ON: ...to prosiłbym cię, abyś swoje uwagi zechciała zachowywać dla siebie.

ONA: Nikt mi jeszcze czegoś takiego dwa razy nie powtórzył!

ON: Co to znaczy „Nikt"?

ONA: Już ja wiem co mówię.

ON: Wzywam cię, abyś się wytłómaczyła!

ONA: Jeśliś jest za głupi, aby zrozumieć...

ON: O, jak mówisz o głupocie, to z pewnością wiesz co mówisz — jako że jesteś na swoim podwórku... (itd. itd.).

Więcej objektywizmu, a mniej krytykowania wszystkich i wszystkiego!

A teraz, po przeczytaniu obydwóch rozmów, zastanówcie się nad tem, że prowadzili je ludzie, których poziom inteligencji i manjer jest raczej wysoki, którzy nie są brutalni ani ordynarni. A jednak... Dlaczego się więc posprzeczali? — Prawie zawsze istnieje w dyskusji, która zamieniła się w kłótnię, pewien punkt zwrotny, niebezpieczny — jakieś powiedzenie, czy aluzja, które stały się przyczyną sprzeczki, a których należało uniknąć. Ten, który pierwszy wprowadził w rozmowę krytyczny subjektywizm, ten jest winien — o tym można powiedzieć, że „on zaczął".

W obu przytoczonych rozmowach istnieją takie momenty zwrotne, od których począwszy spokojny djalog przeradza się w coraz bardziej namiętną kłótnię. Wyszukanie tych momentów nie jest rzeczą bynajmniej łatwą. Zapraszamy grono naszych Czytelników do wypowiedzenia się i wskazania tych momentów w obu rozmowach. Odpowiedzi przyjmować będziemy do dnia 25-go września b. r. Wynik ankiety, oraz nasze osobiste zapatrywanie ogłosimy w najbliższym numerze po tej dacie.

Redakcja.



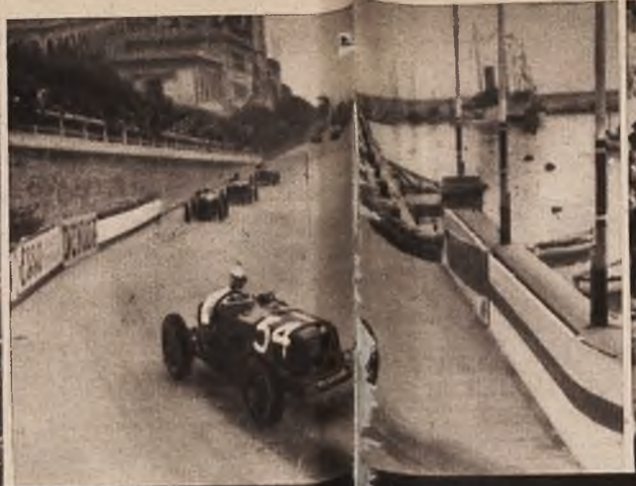
RYSUNKI: CHARLIE — KRAKÓW



Droga wolna dla zwycięzcy oceanu!



Król jedzie!



Uwaga! Wyścig przez ulice miasta!



Droga wolna! Wojsko maszeruje!



Stop! Teraz kolej na przechodniów!



DROGA WOLNA!

Nieprzerwanym nurtem płynie ulicami wielkomiejskiemi niby głębokiemi jarami — wartki strumień pojazdów. Do późnej nocy miasto pulsuje ruchem. Arterje tętnią krwią żywą. Miasto żyje!

Nagle gwizd syreny wdarł się w huk ulicy.

Droga wolna! W kilku sekundach strumień uliczny krzepnie, nieruchomieje. Trzeba zrobić miejsce dla pojazdów uprzywilejowanych.

Oto jedzie przez ulice Nowego Jorku triumfator dnia jednego. Otoczył go rój motocykli policyjnych. Syreny pierwszego wozu torują drogę. Broadway należy w tych godzinach tylko do zwycięzcy. Wszyscy muszą mu ustąpić z drogi. Bohaterski lotnik jedzie na ratusz wśród oklasków, confetti i kwiatów. Jutro o nim zapomną... Może zginie potrącony przez cudzy wóz. Lecz dziś Broadway do niego należy...

Oto z pałacu królewskiego wyjechała karoca złotem olśniewająca. Król jedzie! Londyn szaleje z radości. Niech żyje król! Ruch uliczny zamarł. Królewska karoca przejeżdża pustemi ulicami. A przed chwilą tętniał tu ruch największego miasta Europy.

Przeciągły zew trąbki... jedzie straż pożarna... Gdzieś się pali. Trzeba zrobić miejsce na przejazd wozów, które spieszą na ratunek mienia ludzkiego.

Idzie wojsko... Droga wolna. Po obu stronach jezdni stanął twardy mur tłumów, wiwatujących na cześć wojska. Gdy jutro gdzieś zapłonie granica — rozlegnie się gwizd syren alarmowych, oni pójdą pierwsi...

Idzie procesja... Rozsnuły się dymy kadzideł, na bruk ulicy pada kwiecie... słychać głosy dzwonów, rozkołysanych na wieżach miast. Ruch uliczny zamarł. Płynie ulicą skupiony tłum ludzi modlących się...

Staruszka chce przejść na drugą stronę ulicy. Jedno skinienie pałeczki policjanta przecina niby nożyce taśmę ruchu ulicznego. Rozstąpiła się rzeka... Droga wolna... Wolna dla dzieci i starców...

To są chwile rzadkie, gdy uprzywilejowani zajmują ulice dla siebie.

Po kilku kwadransach — autobusy, taksówki, prywatne limuzyny, motocykle — obejmują znowu władzę nad swoją ulicą. Codzienny strumień ruchu ulicznego żłobi pracowicie swe koryto. Rzadkie są chwile uroczyste i wyjątkowe, gdy rzeka ruchu ulicznego — niby Morze Martwe — rozstępuje się, aby drogę uczynić wolną...

Na skrzyżowaniach ulic policjant regulujący ruch pojazdów jest małym dyktatorem na swoim odcinku. Jeden jego ruch wstrzymuje setki samochodów. Skinienie jego pałeczki wstrzymuje limuzyny Morgana, Vanderbildta, Barbary Hutton... Ba... nawet samego premjera. Policjant, który wstrzymał samochód premjera jadącego nieprzepisową stroną — otrzymał pochwałę... Bo prawa ruchu ulicznego są niewzruszalne... Znają tylko nieliczne wyjątki. Mówiliśmy o tych wyjątkach właśnie. Poza niemi — niema już prawie uprzywilejowanych, dla których ulica powstrzymywała bieg swego życia codziennego.



Cisza! Procesja się zbliża!



Pali się! Straż pożarna jedzie!

Na zamku króla gór



Po wielu latach stanąłem znowu na zamku króla gór... Droga, którą odbyłem, była tym razem może dłuższa i bardziej uciążliwa, niż wówczas, gdy jako student żwawo maszerowałem w wesołej kompanji szlakami pionierów naszej turystyki w Tatrach. Zmęczony usiadłem pod wielkim wykrotem skalnym — wysoko, tuż pod powałą z chmur, co leniwie rozpinały swe brudno-szare kotary nad kotliną Morskiego Oka. Zasłoniły mi one widok na najwyższe baszty tatrzańskiego zamczyska, za któremi przez lata podświadomie tęskniłem, a które dawno temu — w okresie młodzieńczych marzeń ujrzałem po raz pierwszy jako realne potwierdzenie dziwów, wyczarowanych opowiadaniami ojca i matki.

Wówczas żaden trud, czas, czy odległość nie odgrywały roli, gdy podszedłszy pod wyniosły szczyt zapragnęło się go osiągnąć, by potem rozkoszować się pełnią wrażeń, jakiej dostarcza turyście widok z niebotycznej turni.

I szło się bez pamięci w ten kraj zaczarowany — coraz dalej i dalej — jak przez olbrzymie komnaty starego zamczyska, które dawno, przed wiekami opuszczone przez mieszkańców, kryło zazdrośnie przed oczami intruzów skarby swej wspaniałej architektury.

Mijały lata... Legenda Tatr szła za mną i nie odstąpiła mnie nawet wówczas, gdy poddawałem się urokowi kujawskich nizin — gdy zadumany siadałem nad brzegiem Świtezi, lub kiedyindziej znów, gdy rozkoszowałem się słonym powiewem, idącym ku mnie z nad fal polskiego Bałtyku.

I wróciłem między wyniosłe szczyty, jak ptak, którego skrzydła na starość zawodzą. Chciałoby się wzlecieć w górę — jednym skokiem objąć grań od Krywania aż po Łomnicę — osiąść w gnieździe Lodowego — potem wrócić nad Wysoką, Rysy i Mięguszowieckie — musnąć skrzydłem taflę Rybiego Jeziora i zapaść na długo, długo w lasach ciemnosmereczyńskich.

Taki „lot" pozostaje już w krainie marzeń. Trzeba się zadowolić wyjściem na dwie, trzy baszty i z ich wyniosłych murów pogonić choć wzrokiem po uroczyskach — tam, gdzie zostawiło się najmilsze chwile młodości.

Scott.

Powyżej: Masyw Wielkiej Wysokiej.



FOT. ADAM SZPERBER KRAKÓW.

Na lewo: Na Zaworach (w głębi Krywań).

Na prawo: Pod Małym Lodowym.



Pióro i cygaro

KARTKI Z ŻYCIA PIERWSZYCH POSTĘPOWYCH POLEK



Franciszek Kostrzewski: Ogród Saski w r. 1853.

Poniżej: Ewa z Wendorffów Felińska.



Poniżej: Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka.



Współczesny ruch kobiecy nikogo nie dziwi, stał się zjawiskiem powszechnem i tak codziennem, że niemal już niedostrzegalnem. Kobieta XX wieku, składająca w najrozmaitszych dziedzinach życia egzaminy z dojrzałości umysłowej i duchowej, a także wytrzymałości fizycznej, wywołuje już rzadko zdumienie i podziw dla swoich kwalifikacyj, raczej oburzenie i obawy niektórych „panów stworzenia", patrzących ze zgrozą na tak pomyślny rozwój „kwestji kobiecej". Zwłaszcza inwazja piór kobiecych w polskiej literaturze uważana jest za zjawisko nowe i niespotykane dotychczas: Kossak-Szczucką i Dąbrowską, Gojawiczyńską i Nałkowską, Górską i Krzywicką uważa się naogół za inicjatorki kobiecego ruchu literackiego. — W najnowszych, ostatnich czasach są one istotnie twórczyniami na większą skalę, wyrazicielkami i propagatorkami pewnych aspektów i kierunków literackich, ale zasługę inicjatywy czasopiśmiennictwa kobiecego musimy przyznać innym niewiastom.

Powojenna emancypacja kobieca nie jest już właściwie „emancypacją" w pierwotnem tego słowa znaczeniu — to już tylko rozwinięta na dużą skalę kontynuacja tego feministycznego ruchu, który ożywiony i podniecony przez sufrażystki angielskie w XIX wieku kwitnie i rozwija się tak znakomicie aż po dzień dzisiejszy.

Nie ulega wątpliwości, że istotnemi twórczyniami ruchu kobiecego w Polsce nie były już nawet te pierwsze „emancypantki", które w połowie XIX wieku przy akompanjamencie szyderstw i pogardliwych okrzyków kolegów „pchały" się na uniwersytety europejskie, ale te pierwsze autorki i pisarki, które swem odważnem wystąpieniem na arenie literackiej torowały drogę kobiecej emancypacji naukowej i zawodowej. Sylwetki tych właściwych twórczyń ruchu kobiecego są dziś niestety tak mało znane, że warto przypomnieć bodaj w skrócie historję ich dążeń i wysiłków, tem więcej, że jako postacie oryginalne i indywidualne były one przez długie lata ub. stulecia „na ustach" nietylko całej Warszawy, ale całego polskiego świata kulturalnego. Działalność literacka tych swojego rodzaju „gwiazd" życia towarzyskiego i niezwykła często na owe czasy ekscentryczność życia prywatnego bywała przyczyną różnych sensacyjnych plotek w ówczesnym high-lifie.

Zacznijmy od najstarszej i pierwszej autorki XIX w. Była nią ks. Marja Anna Wirtemberska, córka ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Zanim wydała w r. 1816 swoją sentymentalną „Malwinę" czyli „Domyślność serca", wiele już przeszła i przecierpiała burz i zwątpień, zawodów i cierpień ta śmiała pisarka, wydająca w języku polskim na autentycznych faktach oparty, żałosny romans swojego życia. Bystry umysł i wrażliwe serce młodziutkiej panienki kształtowała atmosfera arystokratycznego Trianon polskiego, jakiem były naówczas rodzinne Puławy. Pałac ojca, ks. Adama, stanowił ognisko nauki, sztuki i literatury; w atmosferze teatru, muzyki i poezji poznawała życie przyszła autorka „Malwiny", to życie, które jej przyniosło tyle goryczy wbrew wszystkim młodzieńczym marzeniom. Typowe **mariage de raison** z ks. Ludwikiem Wirtemberskim, siostrzeńcem Fryderyka II, zakończyło jej krótkie dzieciństwo i beztroskie zabawy w salonach ojcowskiego pałacu. Jednak to małżeństwo z rozsądku, zawarte w myśl woli rodziców, której się księżniczka Marja nie zwykłe była nigdy przeciwstawiać, nie przyniosło szczęścia rozmarzonemu sercu młodziutkiej, bo 16-letniej mężatki. Skandaliczne hulanki męża i jego chwiejność polityczna wystawiały na ciężkie próby cierpliwość ks. Marji. Rozsądkiem też nie wszystko potrafiła sobie wytłumaczyć; zatem zerwała nieszczęśliwe węzły małżeńskie i po urodzeniu jedynego syna Adama wróciła na zawsze do Puław. Nieszczęśliwy wówczas stan polityczny Ojczyzny wywarł silny wpływ na atmosferę towarzyską pałacu; spoważnieli i zamilkli jego rozbawieni mieszkańcy; w ciszy i skupieniu przeżywali rodzice i córka tragedję polityczną i rodzinną.

Nowy, patrjotyczny wiew napełnił Puławy: ks. Adam chwyta za pióro i spisuje swoje myśli, księżna Izabela-matka buduje „Świątynię Sybilli" i wydaje słynnego „Pielgrzyma z Dobromilu", a córka pisze pierwszy po polsku romans, zatytułowany „Malwina". Nie jest niczem innem ta sentymentalna opowieść, jak obrazem przeżyć małżeńskich samej ks. Marji. Sielankowość, nadzwyczajna ckliwość i płaczliwość utworu — to wyraz epoki i modnego wtedy nawet wśród męskich piór „wertheryzmu". Blada, osjaniczna Malwina nie wzbiła się ponad poziom przyjętego konwenansu literackiego, jednak kobiece pióro, nazwisko autorki, znanej w szerokich kołach towarzyskich, wywołało sensację i powszechny aplauz. Tak samo przychylnie przyjęto jej „Opowieści wiejskie dla ludu" w r. 1818, po których wyczerpał się widocznie zapas natchnienia poetyckiego księżnej pani.

Gdy jednak dziś z perspektywy 122 lat patrzymy na jej „Domyślność serca", nie możemy nie przyznać autorce tych zasług, które się jej istotnie należą jako prekursorce ruchu umysłowego wśród kobiet polskich i propagatorce języka polskiego w sfrancuziałem w jej oczach piśmiennictwie. Przykład jej pociągnął niebawem coraz liczniejsze kobiety, a ten ożywiony ruch nie pozostał bez wpływu na kształtowanie się życia

kulturalnego w Polsce.

Wysoki poziom arystokratycznych środowisk, nadmiar wolnego czasu sprzyjały specjalnie rozwojowi talentów kobiecych, czego dowodem Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska, również znana autorka z pierwszej połowy XIX w. Brak urody i pewna ułomność fizyczna utrudniały miłej i kulturalnej pannie zamążpójście. Zwróciła więc rychło całą swą uwagę i zainteresowania w kierunku nauki i religji. Skromna i poważna postanowiła szukać szczęścia w klasztorze, gdy nagle poznanie Adama Jaraczewskiego zmieniło bieg jej życia. Poślubne wizyty jednak, wyjazdy i t. d. męczyły wątłą i delikatną Elżbietę, zajęła się więcej domem, filantropją i... literaturą. Oczywiście pierwsze próby zaczęły się od pisania pamiętnika, zawsze modnego w pewnym okresie życia. Właściwa twórczość Jaraczewskiej przypada na dojrzałe jej lata, kiedy myśli, pragnienia i uczucia skrystalizowały się w umyśle i szukały ujścia w formie powieściowej. Duże zdolności i niezwykła pamięć przyczyniły się do obfitego dorobku literackiego w ciągu stosunkowo krótkiego, bo 3 lata trwającego okresu twórczości pisarskiej (1827—1830).

Napisała i wydała cztery duże dzieła: „Zofja i Emilja", „Pierwsza młodość, pierwsze uczucia", „Upominek dla dzieci czyli krótkie powieści moralne" i „Wieczór adwentowy". O niezwykłej łatwości pisarskiej autorki świadczą słowa jej brata, Józefa hr. Krasińskiego, który o ostatniej wymienionej książce mówi, że była napisana i poprawiona w ciągu dni 12. A jest to bądź co bądź dwutomowy utwór. Gdy przed śmiercią wzrok jej nie dopisywał, potrafiła dyktować po 12 godzin dziennie piszącym za nią osobom, a sama „wtedy bywała w całym ogniu i zapale kompozycji".

Niestety śmierć męża w Powstaniu Listopadowem złamała tę niestrudzoną kobietę. Zmarła w Krakowie w r. 1832. Nazwali ją niektórzy słusznie pierwszą emancypantką. Pomijając ocenę artystyczną jej utworów, trzeba podkreślić ich „bojowość", niezwykłą na owe czasy. Mimo bowiem obfitości łez w swych książkach, była Elżbieta Jaraczewska zdecydowaną przeciwniczką sentymentalizmu w życiu i w literaturze. Podobnie jak czułostkowość, tępiła konwenans, obłudę towarzyską i brak krytycyzmu u współczesnych sobie kobiet polskich. Zwolenniczka harmonijnej równowagi w myślach i uczuciach ceniła Jaraczewska w kobiecie ponad wszystko słowność i poczucie obowiązku. A ponieważ przy tem domagała się wykształcenia i samodzielności oraz niezależności materjalnej dla kobiet, trzeba jej przyznać niezwykłą na owe czasy śmiałość w kreśleniu programów wychowawczych. Jej ideały i poglądy, tak odbiegające od utartych, szablonowych wzorów, czyniły z niej kobietę nieprzeciętną, a odwaga w głoszeniu swych przekonań upodabniała ją do późniejszych bojowniczek feminizmu kobiecego.

Aby ocenić w pełni „bojowość" książek Jaraczewskiej, należałoby dokładnie poznać poziom życia ogółu kobiet polskich na przełomie XVIII i XIX w. Dobrem zwierciadłem tej „szarzyzny szlacheckiej" są pamiętniki Ewy z Wendorffów Gerardowej Felińskiej (1793—1859). Nie była ona arystokratką, ale „taką sobie" przeciętną polską szlachcianką, niemniej inteligentną i myślącą kobietą, wyrazicielką poziomu umysłowego i ideałów kobiet swego czasu. Nieliczna, ale oryginalna twórczość powieściowa tej rychło owdowiałej i 6-ciorgiem dzieci obarczonej autorki oparta jest właściwie na osobistych jej przeżyciach. Do literatury oprócz wrodzonej skłonności pchnęły 50-letnią Ewę Felińską przedewszystkiem ciężkie warunki materjalne i przykład dzieci, zarabiających na chleb malarstwem. Na zesłaniu w Saratowie rodzą się w niej (1843) pierwsze „Myśli o postępie ludzkości", ogłoszone w Tygodniku Petersburskim pod pseudonimem Weneranda Kokosz. Następnie wychodzą drukiem cztery powieści: „Siostrzenica i ciotka", „Pan Deputat", „Hersylja" i „Pomyłka". Odtworzyła w nich Ewa Felińska doskonale epokę swej młodości, jednak ani równać się nie mogła pod względem artystycznym z takimi mistrzami kompozycyj powieściowych, do jakich już wówczas należał np. Ignacy Kraszewski. Łatwość pisania i bogactwo wspomnień nadawało się właściwie w sam raz do snucia pamiętników. W tym też kierunku rozwinęła się wkrótce działalność pani Ewy. Wileńskie „Ateneum" ogłosiło drukiem „Wyjątki z dziennika Ewy Felińskiej" oraz jej „Wspomnienia z podróży po Syberji", które następnie wydano w całości i ogłoszono drukiem oraz przetłumaczono na język angielski. Duża poczytność skłoniła autorkę do ogłoszenia jeszcze 5 tomów „Pamiętników z życia", po których wydaniu w r. 1859 zmarła zasłużona literatka.

Nie była wielkością ani nawet oryginalnością ta przedstawicielka kobiecego świata szlacheckiego w XIX w. W zakresie pamiętnikarstwa ma jednak pewne zasługi, które tem są większe, że jęła się tej pracy w podeszłym już wieku, nie jako zaśniedziała i zrezygnowana do życia bolejąca wdowa, ale jako energiczna i pełna inicjatywy kobieta. Zarabiając piórem na chleb, wskazywała drogę tysięcznym rzeszom kobiet.

Zupełnie innym człowiekiem była Julja Molińska Wojkowska. Niespokojna, nerwowa, oryginalna i bezkompromisowa, jednem słowem „dziwna" panna Julja obrała sobie (a było to przed 100 laty!) nader śmiałą drogę wolnego związku małżeńskiego z ukochanym człowiekiem i to zgubiło przedwcześnie tę utalentowaną publicystkę. Jako dwudziestokilkoletnia nauczycielka w rodzinnych stronach — w Poznańskiem — cieszyła się ona dużą sympatją rodziców i wychowanek mimo ekstrawagancji manjer i obyczajów, oraz zbyt afektowanego sposobu bycia. Rychło jednak stała się objektem krytycznych plotek i obmów, zarówno dzięki ożywionej działalności literackiej, jak i przedewszystkiem z powodu swobodnego bardzo trybu życia. Kulminacyjnym punktem zgorszenia, jakie wywołała młoda przełożona, było współżycie bez ślubu z Antonim Wojkowskim, redaktorem Tygodnika Literackiego w Poznaniu. On także zdolny pisarz, utalentowany muzyk, bogaty ziemianin, podobnie jak ukochana Julja nie liczył się z opinją publiczną. Co gorsze! swój liberalizm etyczny i radykalizm społeczny postanowili oboje propagować zapomocą pisma na szerszą skalę wśród społeczeństwa. Zapomniały jednak o tem te dwie „dziwne i postrzelone" głowy, że rewolucyjne ruchy rzadko mają w sobie cechy trwałości i powodzenia. Ich swoboda matrymonjalna, wzorowana na zagranicznych stosunkach, wywołała odruch oburzenia ze strony społeczeństwa. Zakipiało w małym światku poznańskim, który jednomyślnie protestował przeciw nowatorskim ekstrawagancjom Wojkowskich. Zwinęła swą pensję Julja Molińska, upadł Tygodnik Literacki, na 10-tym zeszycie skończyło swą marną wegetację wydawane przez nich „Pismo dla nauczycieli ludu i dla ludu polskiego", a także Gazeta Wielkopolska — tygodnik, który ukazał się zaledwie 17 razy. — Śmierć Ant. Wojkowskiego była ostateczną katastrofą duchową i materjalną dla Julji Molińskiej. Załamała się nerwowo, popadła w obłąkanie, a po śmierci rodziców w Trzemesznie uciekłszy pewnej nocy do Wrocławia, zmarła tam w szpitalu w 1851 r.

Dokończenie na str. 24-tej.



Narcyza Żmichowska.



Marja z ks. Czartoryskich księżna Wirtemberska.



Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska.

WŚRÓD LEŚNYCH OLBRZYMÓW
Fot. Mundi — Amsterdam

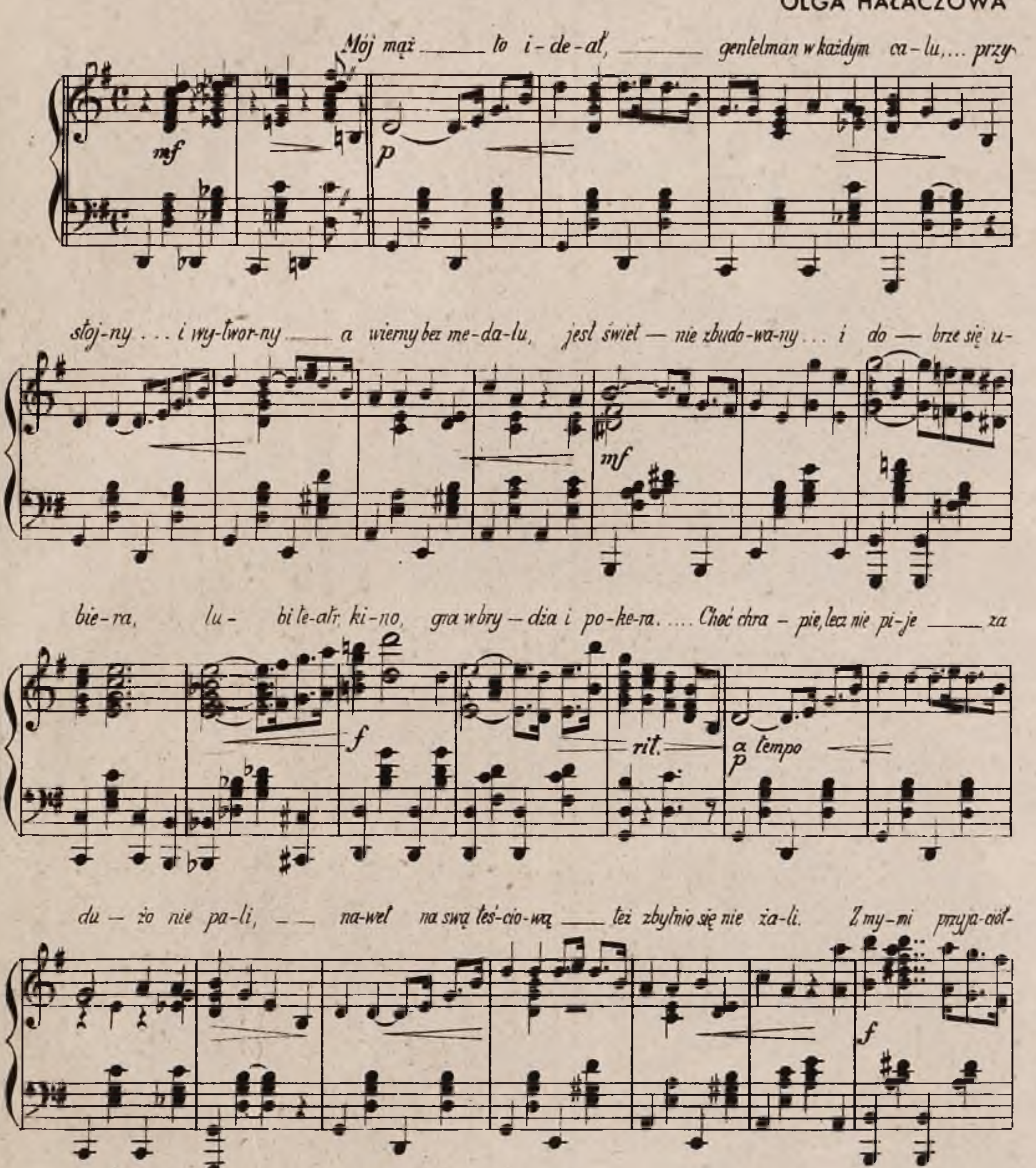


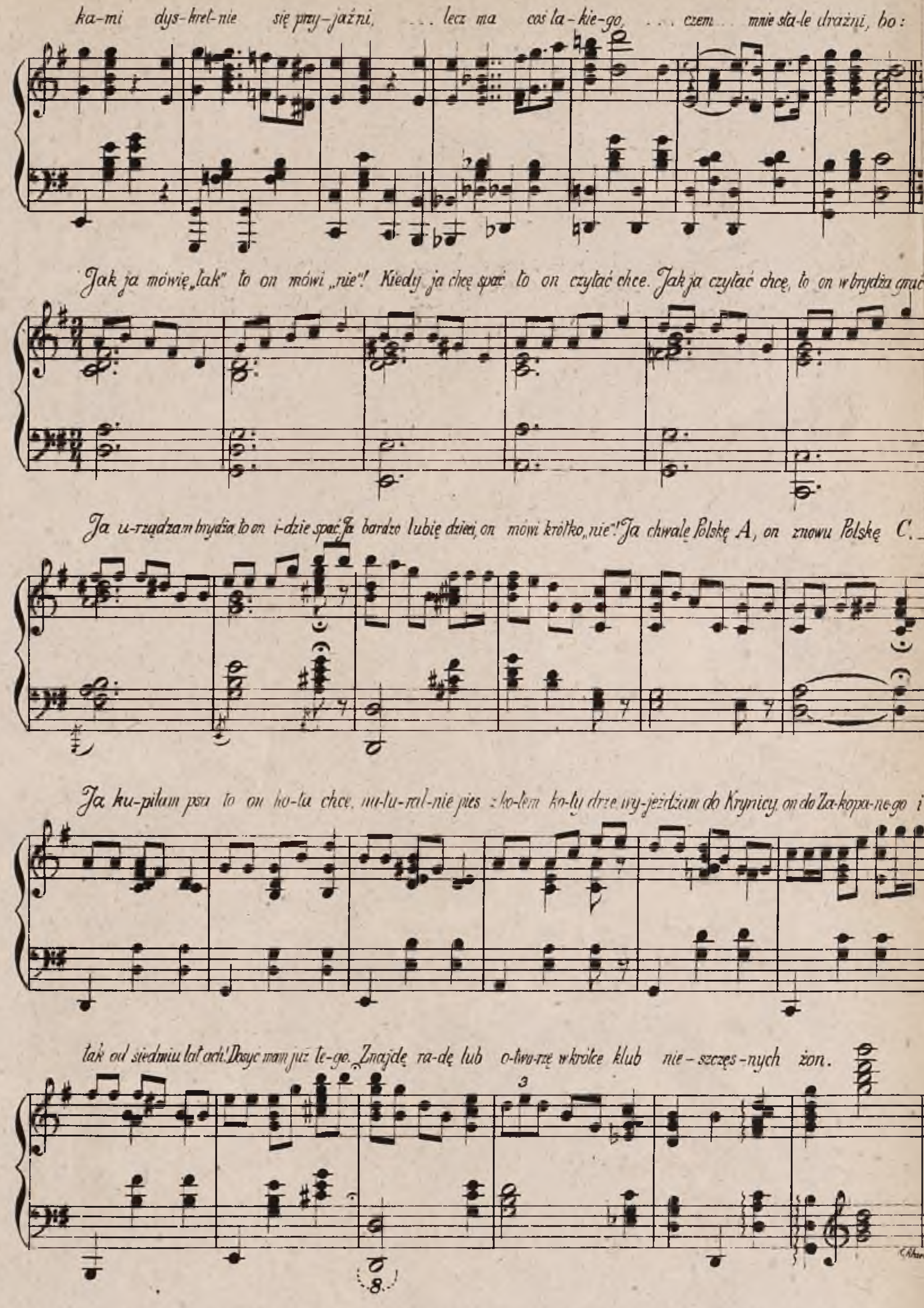
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

IDEALNY MĄŻ

PIOSENKA-KUPLET

SŁOWA I MUZYKA:
OLGA HAŁACZOWA





HAN-SU

ANTONINA TEODOROWICZ

NOWELA

Po obiedzie przeszli do gabinetu.

Zapadli w głębokie fotele, osnuli się tęczą dymu i milczeli długą chwilę, rozkoszując się spokojem, wygodą i smakiem wytwornych papierosów. Zapachem gorącej, czarnej kawy.

Doktór pierwszy przerwał milczenie, nie przestając śledzić leniwych kółeczek dymu, wijącego się w powietrzu. Jakby wypowiadając głośno dalszy ciąg swych myśli, powiedział monotonnie, głębokim głosem:

— Chinka! Kobieta wschodu. Inna dusza, inna wiara, inne wnętrze. Inna skóra i postać i oczy i słowa. Niezbadana, kusząca, brzydka i cudowna. Męcząca. Upajająca jak haszysz, jak opjum, jak kokaina... Chinka!

Dym zrobił się ciemno niebieski i wzbił się płaską chmurą ku oknu.

Towarzysz doktora mały, niski mężczyzna o spalonej wiatrem morskim twarzy, poruszył się niecierpliwie w fotelu i mruknął niewyraźnie:

— Masz o czem myśleć! Niepotrzebnie ci wspomniałem o tem. — Ale doktór był widać innego zdania.

— Powiedz mi coś więcej — odezwał się, przerywając głośno senne milczenie gabinetu — chciałbym wiedzieć coś więcej o tej... jak mówiłeś? Zapomniałem!

— Han-Su.

— Han-Su. Właśnie! I cóż? Kim była? Stara, młoda, ładna? No, opowiadajże! Słucham!

Był to nieomal rozkaz.

Niski człowieczek poruszył się niespokojnie, a widząc, że jednak będzie musiał ulec, zaczął wyrzucać z siebie słowa jeszcze niewyraźniej i jakby bardzo niechętnie.

— Naco ci to? To przecież ciebie nic a nic... ale jeżeli chcesz koniecznie!... Właściwie, to nie znałem jej, opowiadano mi tylko. No, widziałem ją raz... jeden raz! — Zdaleka! — Chrząknął niepewnie i urwał. Oczy mu się rozszerzyły jakiemś dalekiem wspomnieniem, pobladł trochę. Machnął ręką, jakby chciał odepchnąć ściskającą go, niewygodną obręcz.

— Han-Su... Jak wiesz, Chinka. Jej młodość jest nieznana, nikt nic nie wie. A gdy wydano ją staremu Limowi, miała piętnaście lat, stała się najbogatszą kobietą w kraju. Żyła w pałacu za miastem i już wtedy zaczęły krążyć opowieści, że ona... — zająknął się.

— Cóż do licha! — zniecierpliwił się doktór — co ona?

— Mówiono... mówiono, że kto spojrzy w jej oczy, traci zmysły. Że ona urzeka, czaruje, upaja gorzej jak opjum, że człowiek traci wolę, siłę, przytomność...

— W rok potem stary Limo umarł, chociaż cieszył się zawsze doskonałem zdrowiem. Konając, rzucał się i krzyczał coś o jej oczach i o tem, że go zabiły... Ale przecież nikt rozsądny.... w to nie uwierzył... — zakończył bardzo niepewnie.

— Cóż dalej? — mruknął doktór.

— No cóż? Stała się sławną, rozrywaną. W jej pałacu stale bawiła gromada gości, nie wyjeżdżała jednak nigdy nigdzie, i mimo obcowania z Europejczykami, pozostała Chinką. Ale były zabawy, przyjęcia, bale... Zawsze otoczona rojem mężczyzn wpatrzonych w nią, nieprzytomnych, pijanych jej oczami.... Śmiała się z nich, drwiła! Gnębiła ich i odpychała, jakby mszcząc się za niepopełnione winy. Aż raz — przyszedł jeden! Był malarzem. I widział w niej bardziej oryginalne piękno, niż kobietę. Nie dał się usidlić jej oczom, a ona? Cóż! Pokochała go. Jego jednego, nareszcie! Chudła. Brzydła, oczy jej tylko zostały wkońcu z tej trójkątnej, jak z kości słoniowej twarzy. Taką ją wtedy widziałem.... — dodał ciszej.

— A potem? — spytał doktór.

— Potem malarz namalował jej potret, który dzisiaj wzbudza sensację na wystawie, bawił u niej jeszcze tydzień i wyjechał nie żegnając się z nią nawet. Gdzie — nie wiadomo. Uciekł. Uciekł w porę przed jej oczami i miłością i zaszył się gdzieś w świecie. Zabrał jej portret, ale ofiarował go w bardzo krótkim czasie jakiemuś muzeum, za śmiesznie niską cenę... byle nie widzieć jej więcej. Wyjeżdżał podobno chudy jak szczapa, i żółty na twarzy, z przerażonemi oczami, ale wyjechał.

— I nikt go więcej nie widział?

z— Nikt. Był chory. Może umarł? Był, widzisz, z twarzy ogromnie podobny do ciebie, mój drogi!

— Co? — Doktór zerwał się nagle i prawie krzyknął to słowo. — Co ty mówisz, ja?!

— Ty, ty! — roześmiał się trochę złośliwie mały człowieczek. — Czemu cię to tak przeraża? Czy myślisz, że piękna Han-Su zemści się i przyjdzie do ciebie jako do sobowtóra? Nie, niema obawy! Nie przyjdzie. Umarła przecież trzy lata temu w swoim pałacu. Nie będzie chyba w tobie szukała swego niewiernego malarza!

— Śmieszny jesteś ze swojem „nie bój się"! Czego bym się bał? Zdziwiłem się przecież tylko...

— Ta-ak? Możliwe... A teraz pozwól, że cię pożegnam. Umówiłem się. I nie myśl za dużo o Han-Su! To niebezpieczne! Dowidzenia!

Mały człowieczek wytoczył się z pokoju kołyszącym się krokiem marynarza. Na progu jeszcze odwrócił się i rzucił napół serjo, napół ironicznie:

— Han-Su nie wypuszczała łatwo ofiar z rąk! Ale nie bój się, nie bój... o, pardon! Już idę!

I drzwi zatrzasnęły się za nim.

Cisza spadła nagle na pokój i przytłoczyła swym ciężarem doktora. Niespokojnie począł chodzić po gabinecie, potrącając o meble i nie widząc niczego wokół siebie. Zapadło mu dziwnie głęboko w mózg to imię obce, dalekie, niepokojące...

Han-su, Han-su, Han-su, skandowało serce, mówiły kroki, szumiała krew. Ciężki, ciemny opar dyszący pożądaniem i niepokojem, dławiący do nieprzytomności, szedł od tego imienia i od myśli dziwnych, szalonych i nieopanowanych. Chodził coraz prędzej po pokoju jak dzikie zwierzę w zaciasnej, bezlitosnej klatce, tam i zpowrotem, od ściany do ściany. Nagle jakby tknięty ostrą myślą, ubrał się, wziął kapelusz i wyszedł.

Szedł machinalnie, roztrącając ludzi, niebardzo wiedząc, dokąd idzie. A jednak w jakiś czas później stał już przed bramą wystawy „Sztuki chińskiej" i kupował bilet wejścia, witany niskiemi ukłonami przez dyrektora, jako znany gość.

Przechodził z sali na salę powoli, hamując kroki i rozbiegany, szukający wzrok. Obojętnie patrzał na obrazy, przebiegał po nich spojrzeniem, nie widząc. Wiedziony jakimś nieomylnym instynktem szedł wprost do ostatniej sali, małej, zawieszonej paroma obrazami tylko.

Przystanął na progu. Był sam.

A naprost, była ona. Han-su.

Wychylała się z ram portretu naturalnej wielkości, drobna, barwna w swem haftowanem pięknie kimonie.

Maleńkie, niby dziecinne nóżki, trochę zwrócone ku sobie wedle zwyczaju dawnych, chińskich dam, tkwiły w złotych pantofelkach o nieprawdopodobnie wysokim obcasie.

Ręce, lśniące ciemno-purpurowym lakierem paznokci, oparła o rzeźbiony misternie stolik, jakby niedbale. Twarz w obramowaniu czarnych, metalicznie lśniących włosów, była trójkątna, złocista, jakby prześwietlona od wewnątrz gorejącym płomieniem.

A potem były już tylko jej oczy.

Jak długo stał tak, zapatrzony w nie, nie wiedział. Minutę, czy dzień? Co znaczył czas i jego wszystkie sprawy wobec tych oczu ogromnych, niezbadanych, patrzących mu prosto w twarz?

Z pod opadniętych lekko, czarnych, długich rzęs, patrzyły tajemnicze, kuszące, zdradliwe, jak otchłań bezmiernie czarne i bez dna. Otchłań, pociągająca ofiarę coraz bliżej, bliżej... Z okrutną radością śledziły jej niemoc i bezradność. Przykuwały myśli, rozdzierały serce, i duszę coraz głębiej i dalej, z jakąś dziką rozkoszą wypijając z mózgu myśli, krew, i siły...

Nie można było nie utonąć w nich. Nie można było nie zatracić się w nich bez ratunku. Stał tak i patrzył w oczy Han-su godzinę, czy dwie, czy może wieczność całą? Nie wiedział właściwie jak, i kiedy dostał się do domu. Zresztą czy to nie było wszystko jedno?

Tego dnia jeszcze kupił portret.

Zapłacił olbrzymią sumę, wykłócił się z dyrektorem, stoczył walkę z „Muzeum Sztuki Chińskiej". I wreszcie zmęczony, rozgorączkowany, niecierpliwy, przyjął zdobycz późnym wieczorem i zajął się odrazu zawieszeniem.

W dużym, ciemnawym gabinecie sama jedna na całej ścianie zawisła Han-su, jak barwny motyl. Lśnięca, niby żywa istota, zamknięta przemocą w ciężkie, złote ramy. Zaklęta chińska księżniczka, z trójkątną twarzyczką.

Przez całą noc przesiedział doktór naprzeciwko niej zagłębiony w fotelu. Niemy, ogłuszony, jakby niepomny na nic.

Widział tylko jej oczy, i usta lśniące ciemną czerwienią, ciepłe, żywe...

W ciszy i ciemności wyłaniała się niepokojąco złota, matowa twarz. Han-su patrzyła wielkiemi oczami i uwięziła serce doktora węzłami silniejszemi ponad wszystko. Zdawało mu się, że długie, wygięte rzęsy drżą. Potem uniosły się trochę... Tak, widział, drżały wyraźnie! Uniósł się napół z fotela, serce zamierało mu z nieprzytomnej radości. Unosi rzęsy!!

Już widać coraz więcej ogromne, czarne źrenice. Patrzą. Z za drgającej firanki rzęs lśnią tajemniczo, błyskają jaśniejszemi ognikami, po których czerń wydaje się jeszcze więcej otchłanna i bez dna. Oszołomiony, szczęśliwy, przerażony doktór traci poczucie rzeczywistości. Nie wie już gdzie jest jawa, a gdzie zaczyna się ten sen, niesamowity, gorączkowy sen, który upaja jak opjum, jak haszysz... straszny i dziwny, darzący niepojętą, nerwową rozkoszą.

Patrzą sobie długo w oczy.

On, Europejczyk, poważny, rozsądny

człowiek, żyjący dotychczas swem własnem spokojnem i wygodnem życiem, bez specjalnych wstrząśnień i pożądań.

I ona, Han-su. Niedbale, kapryśnie uśmiechnięta, daleka i tajemnicza. Chinka o złotej, trójkątnej twarzy.

Mijają długie, ciężkie, przytłoczone niesamowicie ciemnością chwile. Han-su żyje. Patrzy. Jej dziwna twarzyczka wśród ciemnego tła zdaje się nabierać z każdą minutą coraz więcej blasków i życia. Usta drżą. Czy mówi coś? Doktór nachyla się pożądliwie. Usłyszeć! Raz choćby usłyszeć jej głos!

I nagle zdaje mu się najwyraźniej, że z maleńkich, zmysłowo wykrojonych ust słyszy ciche, najcichsze, wyszeptane czy wyśnione:

— Ukochany! Ukochany! Odnalazłam cię!

A potem już wszystko wiruje w nieprzytomnym śnie. Świat zapada się w otchłań, wiruje przez chwilę jak złota kula, zamienia się w małą, wabiącą okrutnie twarz o złotej skórze, a potem ginie w nieprzebytej, nieogarniętej ciemności.

Zaczęły się dla doktora teraz dni dziwne, nierealne, męczące, jak koszmar, a pełne rozkoszy. Było to, jak powolne zapadanie się w cień i mrok, jak wieczne oszołomienie najmocniejszym narkotykiem. Doktór nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje. A może... nie chciał poprostu zrozumieć? Schudł, zmizerniał. Oczy mu się tylko paliły jak w wiecznej gorączce. Wargi były suche i popękane, nasuwające bezwiednie myśl o jakichś szalonych, aż bolesnych pocałunkach. Gdy wracał ze szpitala, gdzie pracował nieprzytomnie, jak w transie, szedł wprost do gabinetu, zabierając ze sobą zwykle flaszkę koniaku, i zapadał z uśmiechem wyzwolenia w fotel naprzeciwko portretu.

Jak najsłodszy opar opjum otaczał go, brał w posiadanie czarny, bezdenny wzrok. Chłonął chciwie wszystkie siły żywotne, oplatał tysiącem niewidzialnych macek, wysysał krew, aż nie zostawało nic, prócz poczucia rozkoszy nieprzytomnej, bolesnej, duszącej. Han-su zabierała mu myśli, krew i siły. On tracił zdrowie i siłę, a jej dalekie obce oczy zdawały się z dnia na dzień nabierać więcej blasku i coraz wyraźniej żyć!

Kiedyś przyszedł swym kołyszącym się krokiem marynarza mały, gruby człowieczek. Wtoczył się do pokoju i już od progu, wyciągając ręce, wołał głośno:

— Hallo! Co z tobą? Chory jesteś?

Doktór mamrotał coś niewyraźnie i niechętnie, podniósł się leniwie z fotela. Był zły, że mu przeszkadzają. Ale tamten, nie zważając na nie, rozsiadł się już wygodnie obok niego i opowiadał prędko, wesoło i rubasznie, śledząc uważnie z pod oka wyniszczoną, nieprzytomną twarz doktora. W pewnej chwili przypomniał sobie coś i wykrzyknął wesoło:

— A cóż Han-su? Czy pamiętasz jeszcze naszą rozmowę? Poszedłeś ją może oglądać? Tak podobny do przedmiotu jej marzeń powinieneś był...

Ale w tej chwili urwał gwałtownie i znieruchomiał. Oczy jego padły na ścianę i cofnęły się szybko, przerażone, rozwarte. — Wstał i jąkając się zdenerwowanie, wyrzucił ze siebie:

— Co... co to? Han-su?! Kupiłeś?

A gdy doktór uśmiechnął się tylko nieprzytomnie, nic nie mówiąc, chwycił go za ramiona i potrząsając nim mocno krzyczał prawie, zdenerwowany do ostateczności:

— Człowieku, coś ty zrobił? Opamiętaj się! Wyrzuć ją zaraz, w tej chwili! Zbudź się na miłość Boską, bo inaczej... Nie zdajesz sobie sprawy...

Nie dokończył. Ze zgrozą i nienawiścią obrócił się ku portretowi i wygrażając mu zaciśniętą wściekle pięścią, krzyknął:

— Han-su! Ty żółta, podła żmijo!!

A potem wybiegł z pokoju, wymachując w szalonym gniewie rękami.

W miesiąc później w gazetach ukazała się wiadomość, że znany doktóry X w swej willi nad morzem zaginął bez wieści.

Prawdopodobnie musiał zatonąć, kąpiąc się przy dużej fali. Zwłaszcza, że ostatnio nie czuł się podobno zbyt dobrze. Wydalił się wieczorem w kierunku morza i odtąd słuch o nim zaginął. Nikt go nie widział, a na piasku nie znaleziono żadnych śladów, prócz stóp doktora, no... i o kilka kroków przed niemi, ślad dziwnie drobnych nóg, stąpających na nieprawdopodobnie wysokim obcasie, lekko zwróconych ku sobie...

Ale tego nie brano oczywiście pod uwagę.

„Zaginiony zostawił w swej willi nad morzem nieocenionej wartości portret damy chińskiej, który z niewiadomych powodów zabrał ze sobą z miasta na tak tragicznie zakończony urlop".

Dokończenie ze strony 20-tej.

Była to niewątpliwie zdolna dziennikarka i literatka, ale swoboda życia prywatnego utrudniała jej ogromnie kontakt ze społeczeństwem. Pozostałe po niej pieśni i dumki ludowe, elementarze, „nauki religijno-moralne" i t. p. wskazują na żywy i błyskotliwy umysł; umiała jak mało kto wtedy „podchodzić" do ludu. Narcyza Żmichowska uznała ją za „jedyną, co umiała dla ludu o ludowych pisać sprawach". Jako publicystka domagała się Julja Molińska dopuszczenia kobiet do życia publicznego, ale w takich granicach, któreby wykluczały rywalizację z mężczyznami. Nie głosiła właściwie żadnych radykalnych haseł i poglądów, szukała nowych dróg życia dla ówczesnej kobiety, a żądza sensacji i „nowości" skierowała tę utalentowaną „emancypantkę" na niefortunną drogę liberalizmu etycznego, co ostatecznie złamało jej karjerę literacką.

Zbliżając się do końca tego przeglądu wybitniejszych postaci kobiecych XIX wieku, wspomnieć jeszcze należy trzy pionierskie nazwiska kobiecego ruchu umysłowego, a to: Eleonory z Gagatkiewiczów Ziemięckiej, Pauliny Krakowowej i Narcyzy Żmichowskiej.

Pierwsza z nich, „kobieta w todze filozofa", dowiodła własnym swym przykładem, że nawet poważne studja filozoficzno-społeczne mogą być dostępne kobiecie polskiej i to jeszcze wtedy, gdy zamknięte były przed nią bramy uniwersytetów, a książka była jej jedynem źródłem wiedzy i nauki. Wybitnie uzdolniona Eleonora jako 12-letnia panienka pisuje już artykuliki w „Dzienniku dla dzieci" (1830), wydawanym przez St. Jachowicza, autora popularnych wierszyków („Pan kotek był chory" i in.). Piętnaście lat mając, drukuje w Tygodniku polskim artykuły z dziedziny wychowania kobiecego, a w 16 r. życia wychodzi za mąż za utalentowanego malarza Ant. Ziemięckiego, z którym wyjeżdża na studja do Drezna. — Tu zwraca się jej umysł do ulubionych zagadnień społecznych, otwierają się przed nią rozległe horyzonty myśli profesorów niemieckich, których krytyką zajęła się po powrocie do kraju w „Zarysach filozofji katolickiej". Poza tem wydała „Myśli o wychowaniu kobiet", „Kurs nauk wyższych dla kobiet", „Studja" i „Powieści ludowe". Nakreśliła również ciekawie krótki „Rys piśmiennictwa polskiego od r. 1830". Redagowała i wydawała między r. 1841—1846 pismo „Pielgrzym", a do r. 1842 opracowała w „Magazynie powszechnym" kilkanaście ciekawych biografij sławnych poetów, artystów i uczonych. W kobiecym noworoczniku literackim, noszącym nazwę „Pierwiosnek", drukowała Eleonora Ziemięcka szkice, poświęcone sztuce i kulturze niemieckiej. Sławną stała się w całej Polsce w r. 1842 dzięki rozprawie krytycznej na temat heglizmu i religji chrześcijańskiej. Umarła, opromieniona sławą „kobiety-filozofa" w roku 1869.

Zasługą jej są niewątpliwie samodzielne badania w dziedzinie nauk filozoficzno-społecznych, które nie leżały zupełne na linji zainteresowań ówczesnych kobiet polskich. Pracą na tem polu wskazywała Eleonora Ziemięcka nowe drogi rozwoju myśli kobiecej. Jej nieprzeciętna umysłowość każe ją już zaliczyć do elity intellektualnej warszawskiego towarzystwa, elity kobiecej, grupującej się przez 6 lat około wspomnianego już „Pierwiosnka", a w latach 1842—1850 wokół grona „entuzjastek warszawskich".

Rocznik literacki „Pierwiosnek", wydany po raz pierwszy przez Paulinę z Radziejowskich Krakowową w r. 1838, zawierał na swych kartach wyłącznie utwory kobiecego pióra. Mniej lub więcej zdolne autorki, nie pozbawione talentu literackiego, w liczbie ponad 50, zabierały głos na jego łamach w obronie nowych haseł „emancypacyjnych". Ponieważ jednak większość z nich należała do t. zw. starych panien, wyszydzano całe wydawnictwo i ośmieszano w sposób satyryczny i złośliwy cały ten „ruch pierwiosnkowy".

A jednak z grona jego wyszły pierwsze „entuzjastki" z Narcyzą Żmichowską na czele, propagatorki nierzadko skrajnie pojętego feminizmu, ale przytem uzdolnione pisarki, kobiety pełne temperamentu i polotu poetyckiego, organizatorki kół literackich i towarzyskich w Warszawie. One nadawały ton zatęchłemu i gnuśnemu życiu salonowemu stolicy, one organizowały ożywione dyskusje i wieczory, one popierały i popularyzowały z pomocą swoich piór ruch postępowy na łamach Przeglądu Naukowego.

Pierwsze miejsce wśród nich zajmowała „Gabriela" (pseud. literacki Narcyzy Żmichowskiej), niezwykle utalentowana autorka „Pogadanki" i „Książki pamiątek", postać piękna i oryginalna, która zdobyła sobie trwałe imię na kartach literatury polskiej.

Z wielu innych członkiń koła „entuzjastek" wspomnieć trzeba jeszcze Annę Skimborowiczową, w której salonie, zadymionym od fajek i cygar, odbywały się zacięte dyskusje emancypowanych „starych panien" na tematy najbardziej śmiałe i postępowe.

Gdyby nie to nieszczęsne, zawsze wyśmiewane staropanieństwo, gdyby nie obcięte krótko włosy (skandal na owe czasy), gdyby nie cygara palone demonstracyjnie przez pierwsze emancypantki, możeby ruch kobiecy nie nabrał tak karykaturalnego odcienia, jaki posiadał w połowie XIX w.

Wysmagano go zato ostrym biczem satyry i drwin, wykpiono niemiłosiernie w pismach humorystycznych i brukowych, a jednak nie dano mu rady! Musiały w niem tkwić zdrowe i silne pierwiastki twórcze, skoro przetrwał wrogą sobie epokę, zwyciężył niechęć i „logiczną argumentację" męskich przeciwników, a walkę o uznanie w kobiecie pełnowartościowego człowieka zakończył triumfalnym zwycięstwem idei emancypacyjnej.

Dziś, w okresie pełni praw politycznych i obywatelskich kobiet polskich, słusznym zdało mi się przypomnieć tych kilka pionierskich postaci kobiecego ruchu umysłowego i literackiego, których działalność w ub. stuleciu stanowiła niejako podwaliny dla tak bogatego współczesnego piśmiennictwa kobiecego w Polsce.

Mgr. Helena Bartoszek-Zastawniakowa.



fishing

ILUSTROWAŁ ALFRED ŻMUDA

Kiedy raz przed kilkunastu laty wymieniłem w felietonie po nazwisku pewnego lekarza, jako rybaka, przybiegł on nazajutrz do mnie i zaczął mnie prosić na wszystkie świętości, abym nigdy tego więcej nie robił.

— Dlaczego? — zapytam zdziwiony.

— Ano dlatego — odparł zacny eskulap — ponieważ jak się ludzie dowiedzą, że ryby łapię, to przestaną się u mnie leczyć. Bo w pojęciu ogółu rybak, to ktoś niepoważny i nudny.

Od tego czasu dużo zmieniło się w Polsce. Powoli ludzie zaczynają rozumieć, że rybołóstwo muchowe, to sport wysokiej klasy, któremu zagranicą, a szczególnie w krajach anglosaskich oddaje się elita towarzyska. Mowa tu oczywiście nie o łowieniu ryb na glisty, czy na gruntówkę, ale o rybołówstwie muchowem, polegającem na tem, że jako przynęty używa się sztucznej muszki, to jest haczyka, imitującego jętki latające nad wodą i stanowiące największy przysmak dla łososia, pstrąga i lipienia.



Angielki i Amerykanki uprawiają sport wędkarski z wielkiem zamiłowaniem. — Oto piękna rybaczka podbierająca saczkiem złowionego pstrąga na jednej z rzek Kalifornji.

Rybołówstwo muchowe, to przedewszystkiem sport ruchowy. Rybak bowiem posuwa się krok za krokiem z prądem, rzucając za każdym razem muszkę, przymocowaną do długiej linki przebiegającej z kołowrotka poprzez pierścienie przelotowe wzdłuż całego wędziska. To wędzisko kosztuje niekiedy majątek, a przeciętna jego cena waha się od 100—300 złotych.

Do ekwipunku rybackiego, oprócz kilku wędek, należą także nieprzemakalne pończochy, czyli tak zwane wodery, umożliwiające chodzenie po wodzie bez obawy przemoczenia nóg. Na te wodery ubiera się dopiero buty turystyczne.

Rzucanie muchą jest sztuką nielada, a właściwie trudnem ćwiczeniem lekkoatletycznem, wymagającem ogromnej wprawy i opanowania techniki rzutu. To też Anglicy i Francuzi urządzają co roku międzynarodowe zawody w rzucaniu muchą, względnie obrotkiem. Zwycięzcą zostaje rybak, który rzuci najdalej i w najpiękniejszym stylu.

W Polsce rybołówstwo muchowe zaczęto uprawać na szerszą skalę mniej więcej przed 50-ciu laty. Głównym propagatorem tego rybołówstwa był hr. Potocki z Kijowa i prof. Rozwadowski z Krakowa, a następnie b. premjer prof. Juljan Nowak.

Polska starszyzna rybacka skupiona jest w Polskiem Towarzystwie Wędkarskiem, dzierżawiącem Dunajec od źródeł, aż po Tymanową. Coraz częściej na rewiry te, znane dobrze zagranicą, przyjeżdżają teraz cudzoziemcy, m. in. Anglicy.

W ostatnich czasach rybołówstwo pstrągowe zaczynają uprawiać także kobiety i to młode i ładne, a między innemi nawet artystki filmowe z Hollywood. Dowiedziały się bowiem, że chodzenie z wędką nad wodą uspokaja nerwy i przyczynia się do utrzymania linji. Pobyt zaś na świeżem powietrzu w okolicy górskiej wpływa doskonale na zdrowie i samopoczucie.

Może za tym przykładem dziewcząt z Hollywood pójdą i nasze panie i niebawem ujrzymy nad Dunajcem, czy nad Prutem piękne rybaczki, polujące na pstrągi.

Sezon pstrągowo-łososiowy zaczyna się na wiosnę, a kończy 15 września. Lipienie zaś wolno łowić od 15 maja aż do późnej jesieni. Dla poprawy rybostanu uruchomiono wzdłuż całego Podkarpacia wylęgarnie ryb łososiowatych, produkujących rocznie miljony narybku.

Aby zbadać wędrówki łososia, odbywane z tarlisk do morza, rozpoczęto znakowanie t. zw. palczaków. Metoda ta dała rewelacyjne wyniki, opracowywane obecnie przez inż. Żarneckiego z Krakowa.

Jan Laukan.





XV.

Wygląd i sprawność naszych stóp.

Poniżej od lewej: Pilnikiem zrównujemy paznokcie. — Nacieramy je sokiem wyciśniętym z cytryny. — Podnosząc chusteczkę z pomocą palców stopy ćwiczymy ich elastyczność.







Piękne, lekkie, wygimnastykowane nóżki, to ogromny atut życiowy. To podstawa dobrego samopoczucia, to jeden z najważniejszych postulatów zdrowia. Trzeba zatem koniecznie każdego dnia znaleźć dla ich pielęgnacji przynajmniej tyle czasu, ile go się poświęca staraniom o dobry wygląd twarzy i rąk. Na nogach spoczywa ciągle cały ciężar naszego ciała, tak przy chodzeniu, jak podczas stania, przy pracy czy zabawie, przy uprawianiu sportów czy tańca. Ogrom pracy, jaką nogi mają do wykonania, równoważyć trzeba wielką o nie dbałością i raczej urwać coś z czasu, przeznaczonego na sen, aniżeli odmówić sobie codziennej kąpieli nóg, masażu czy nacierania, których skutki objawiają się wytrzymałością na skomplikowane czynności mięśni nóg.

Zabiegi pielęgnacyjne odnoszą się do mięśni, skóry i paznokci nóg. Aby mięśnie utrzymać w należytym, jędrnym stanie, unikajmy zbyt gorących kąpieli, stosujmy ćwiczenia gimnastyczne, obejmujące pracę nietylko uda i przedudzia, ale stopy i palców, o których często zupełnie się zapomina. Doskonałem ćwiczeniem dla usprawnienia palców jest podnoszenie z ziemi przy ich pomocy lekkich przedmiotów, jak chusteczka, kulka z papieru itp. Kto ćwiczeń tych nie uprawia, spostrzeże przy pierwszej próbie, że nie jest to rzecz tak łatwa, jakby się z pozoru wydawało. Aby dojść do perfekcji w tej dziedzinie, trzeba ćwiczyć palce nóg, zginając je i wyprostowując, przyczem zwracać należy uwagę na ich uniezależnianie się od siebie, aby poruszały się nietylko wszystkie razem, ale oddzielnie, duży palec sam a inne wspólnie.

Taka gimnastyka palców poprawi w nich krążenie krwi i stanowić będzie jeden z środków, przeciwdziałających tworzeniu się nagniotków. Nagniotki — to plaga miljonów kobiet, skutek używania zbyt ciasnych bucików, noszonych po całych dniach bez wyzwolenia nogi ani na chwilę z ich okowów. Całe szczęście, że jesteśmy na drodze do stałego polepszania się fasonów trzewików i że przesąd o jak najmniejszej nóżce ma coraz mniej zwolenniczek w świecie kobiet. Dziś nie maltretuje się młodych dziewcząt, aby pomniejszać ich nóżki. Przyjęła się słuszna zasada, że każda noga może być ładna, byle była zdrowa i należycie wypielęgnowana.

Mamy rozmaite sposoby pielęgnowania skóry na nogach, począwszy od zwyczajnej kąpieli codziennej. Rano i wieczorem stosujmy zmywanie nóg wystałą wodą. Nie obawiajmy się takiej temperatury, pamiętając, że nogi przez cały rok są narażane na jej gwałtowne zmiany, więc zmywanie wodą wystałą o temperaturze pokojowej przyczyni się do ich zahartowania. Można zmywanie wodą zastąpić od czasu do czasu zmywaniem nóg wodą kolońską, lub spirytusem, trochę rozcieńczonym i zaperfumowanym kilkoma kroplami wody różanej lub lawendowej. Gdy nogi są szczególnie zmęczone, dobrze jest natrzeć je silnie po zdjęciu bucików spirytusem kamforowym.

Po osuszeniu nóg należy je zawsze lekko natrzeć jakimś neutralnym kremem, a następnie przypudrować lekko talkiem, pamiętając szczególnie o miejscach pomiędzy palcami, gdzie z powodu potu tworzą się, przy braku pielęgnacji, przykre odparzenia skóry. Profilaktyczne działanie talku jest jak najbardziej polecenia godne. Także i przeciwko odciskom stosować trzeba profilaktyczne środki. Można zaczątki odcisków usunąć z pomocą pumeksu, którego nie powinno brakować w żadnej łazience, w żadnej gotowalni.

Domowym sposobem na usuwanie odcisków jest papka złożona z tartej kredy i tartego czosnku. Nakłada się ją codziennie na noc na odciski, a po kilku dniach twarda ich powłoka odpadnie. Pani, nie znosząca zapachu czosnku, może zastosować ziołowe okłady palców z Rojnika czerwonego (Sempervivum tectorum), Robi się z niego nalewkę, dając 2 części spirytusu, 2 cz. wody i 1 cz. soku rojnika. Po kilku dniach nalewka jest gotowa do użytku.

Kto jest już w tem nieszczęśliwem położeniu, że wskutek zaniedbań cierpi na nagniotki, lepiej nie usuwać ich własnoręcznie, lecz poddać się zabiegom specjalisty. — Także i obcinanie paznokci lepiej przeprowadzi osoba specjalnie w tym kierunku wykwalifikowana. Wykonując to sama, musi pani uważać, aby końce nie pozostały ostre i nie powodowały bolesnego wrastania w skórę. Unikniemy tego, spiłowując końce i wygładzając dokładnie brzeg paznokci. Skórkę, zarastającą paznokcie, trzeba delikatnie usuwać, a w razie potrzeby obciąć cieniutkiemi nożyczkami. Same paznokcie dobrze jest od czasu do czasu nacierać sokiem z cytryny.

Wrastające paznokcie nie są nieuleczalne, ale trzeba im poświęcić naprawdę dużo codziennego czasu. Pod wrastający koniec trzeba delikatnie wsunąć codziennie kawałeczek czystej gazy, nasmarować obficie wazeliną borną i owinąć palec gazą, aby nie zadrażniła go nawet pończoszka. Po zdjęciu bucików gazę trzeba wyjąć, przemyć chore paznokcie wodą utlenioną i założyć watę z wazeliną. W razie tworzenia się ropy w miejscu wrastania paznokcia trzeba po usunięciu jej watą stosować parę kropel kamfenolu, który można otrzymać w każdej aptece.

Tak pielęgnowane paznokcie doprowadzi się po jakimś czasie do zupełnie normalnego stanu, ale nieodzownym warunkiem jest przytem noszenie specjalnie wygodnego obuwia, aby noga ani przez chwilę nie doznawała ucisku, zwłaszcza jej chore palce.

Powiadają niektórzy, że zdrowe nogi, to połowa zdrowia. Jest w tem tak wiele prawdy, że należy koniecznie wyznaczyć dla pielęgnacji nóg odpowiednie miejsce w rozkładzie codziennego dnia, nawet gdyby on był kompletnie przepełniony zajęciami zawodowemi. Wymaga też tego estetyka i kultura ciała, które tak triumfalnie wprowadziły kobietę o bosych nóżkach na plażę, a nawet na salę balową i do salonu.

Elwira.

Życie

TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

„NA FALI ETERU" — KOMEDJA MUZYCZNA W TEATRZE MALICKIEJ





Teatr Malickiej w Warszawie gra z dużem powodzeniem komedję muzyczną Pawła Leone'a „Na fali eteru" w adaptacji Leopolda Brodzińskiego, z muzyką polskiego kompozytora Jerzego Lawiny-Świętochowskiego. Komedję wyreżyserował doskonale Roman Zawistowski, który zarazem odtwarza popisową rolę „małego Johna". W szeregach wykonawców błyszczą wdziękiem, urodą i elegancją: Ina Benita, Ewa Stojowska i Lunia Nestorówna. W rolach męskich występują: Igo Sym, Marjan Kielański i in. Na zdjęciach powyżej: Jedna ze scen komedji w wykonaniu (od prawej) L. Nestorówny, I. Syma i M. Kielańskiego. — Autorzy komedji (od lewej) Leopold Brodziński i Jerzy Lawina-Świętochowski.

Fot. Forbert — Warszawa.

REWJA JANINY SMOLIŃSKIEJ



Znana polska tancerka i artystka filmowa Janina Smolińska organizuje w Paryżu pierwszy polski teatr rewjowy, który wystawi wielkie widowisko p. t.: „10 cud świata". W rewji weźmie udział balet, w którym tańczą córki polskich emigrantów w Paryżu. Dochód z imprez tego teatru zostanie przeznaczony na cele dobroczynne polskiej emigracji. Na zdjęciu: jedna ze scen baletowych p. t.: „Boginie w tańcu".

Fot. F. Witczak — Paryż.

POLSCY MUZYCY ZAGRANICĄ





Wacław Niemczyk, profesor Polskiego Konserwatorjum Muzycznego w Gdańsku, doskonały skrzypek i wytrawny muzyk, który koncertował niemal we wszystkich państwach europejskich, wystąpił ostatnio jako solista na koncercie symfonicznym w Sopotach, odnosząc wielki sukces artystyczny.

W szeregach polskich muzyków, którzy pracując zagranicą, zdobyli tam sobie wybitną pozycję artystyczną, znajduje się również utalentowany wirtuoz-pianista Aleksander Sienkiewicz, który prowadzi mistrzowską klasę w berlińskiem Konserwatorjum Muzycznem Klindworth-Scharwenka.

ŚLUB DZIENNIKARZA



Z końcem ubiegłego miesiąca pobłogosławiony został w kościele św. Trójcy w Warszawie związek małżeński pomiędzy młodą, utalentowaną poetką p. Zofją Kruszelnicką, a p. mgr. Romanem Burzyńskim, współpracownikiem i korespondentem warszawskim Magazynu „As" i innych pism Koncernu „IKC".



Słynne jest powiedzenie Dalekiego Wschodu, który poznał wszystkie mądrości świata — „Parasol noś i przy pogodzie".

Zupełnie słusznie parasolka jako broń zaczepno-odporna może się przydać płci słabszej zarówno w dni deszczowe, jak i pogodne.

Parasolka w ręku słabej kobiety przemienia się często w narzędzie wymiaru sprawiedliwości. Jednakże przedmiot ten posiada też i inne zastosowanie.

Opowiadał mi naprzykład pewien znajomy, że parasol był jego swatem... W dni deszczowe wychodził z parasolem na ulicę i ilekroć dostrzegł jakąś osamotnioną piękność przemokłą do ostatniej nitki na deszczu — wtedy z miną pewnego siebie zdobywcy podchodził do upatrzonej ofiary i proponował jej swe ramię i parasol.

To było takie proste. Podchodziło się z miłym, zdobywczym uśmiechem i mówiło:

— Ach pani tak przemokła, czy mogę pani służyć parasolem?...

A często padała odpowiedź:

— To już niech pan lepiej zawoła taksówkę...

Czasami nieznajome przyjmowały tylko parasol, a odrzucały ramię. Aż pewnego dnia parasol doprowadził mego nieznajomego — aż do ołtarza. Nieznajoma była mądrą kobietą i wykorzystała sytuację deszczową. Mój znajomy wpadł z... deszczu pod rynnę...

— I co się stało z tym parasolem? — pytam mego znajomego.

Przez parę miesięcy pieścili-

Na lewo: Dwa modele impregnowanych jedwabnych płaszczy — pierwszy w drobną, stonowaną kratę szkocką, zapinany na dwie sprzączki — drugi w subtelną, jednotonową kratkę, z fałdami biegnącymi z przodu od kołnierza, a zakrywającymi zapięcie na guziki.

ZDJĘBIA FOT. Dr P. WELLER.

Poniżej: Gdy deszcz pada portjer wytwornego hotelu podprowadza jego mieszkańców do samochodu pod olbrzymim parasolem ..





Gdy deszcz pada...

śmy go jako nasze najdroższe wspomnienie. Przecież to on nas połączył. Stał na honorowem miejscu w przedpokoju... Był naszym prawdziwym przyjacielem domu... aż pewnego dnia...

— Co się stało pewnego dnia?...

— Złamał się... — jęknął mój przyjaciel.

— Sam...?

— Nie, żona złamała go na mnie, gdy późno wróciłem do domu...

Zadumaliśmy się obydwaj nad znikomością pamiątek szczęścia na tym świecie.

W tym momencie właśnie radjo zapowiadało odczyt o modzie jesiennej:

„Hallo — hallo — za chwilę nadamy państwu odczyt o szarudze jesiennej.





Powyżej: Sportowy męski fason płaszcza na deszcz kontrastuje z pełnym finezji i bogactwa krojem podobnego płaszcza, przeznaczonego wyłącznie na miasto.

Na prawo: Podczas dni deszczowych plagą przechodniów są pędzące po dziurawej jezdni pojazdy...

„Deszczyk pada, deszczyk rosi — splami kapelusik Zosi" — mówi stara piosenka. Niestety — nietylko kapelusik i nietylko Zosi, ale natrętne strugi wilgoci grożą zniszczeniem tualety wszystkim przedstawicielkom płci pięknej, gdy na przełomie pory zimowej i wiosennej oraz letniej i jesiennej „uprze się i pada a pada". Parasol, to czasem przysłowiowe wpadanie z deszczu pod rynnę. Nastawić go prosto, a właśnie jak na złość zacieka z boku lub z tyłu. Albo wichura odwróci z przekorną złośliwością parasol do góry i co tu robić z taką vis major! Wszystko przemaka do nitki i nawet pod nitkami.

Ale moda zna radę: Okrycia z impregnowanego płótna lub jedwabiu. Pod taką szeleszczącą skórką nie grozi przemoknięcie. Nowoczesna kobieta nie lubi zresztą przechadzek z parasolem, ociekającym wodą i kiwającym się na wszystkie strony pod naporem wiatru w zmęczonej ręce. Płaszcz lub cape impregnowany, lekkie buciczki deszczowe, kapiszon nasunięty na głowę lub na kapelusik — i deszcz jest bezsilny, a dalsza nawet przechadzka miła i odświeżająca organizm. A już na dalsze wycieczki samochodem, gdy mimo barometru i komunikatów PIM mogą zajść najmniej pożądane niespodzianki atmosferyczne, okrycie impregnowane jest nieocenionem dobrodziejstwem. Zresztą to nie dawne niezgrabne szare płaszcze gumowe, ciężkie i nie-twarzowe. Przemysł odzieżowy stworzył istne cacka, pozwalające na roztoczenie w pełni zalotności kobiecej.



Kto ma parasol, może czasem liczyć na powodzenie u płci pięknej...

Rysunki: Charlie, Kraków.

Panie, spacerujące podczas szarugi w barwnych, przeźroczystych celofanach, niebieskich, zielonych, czerwonych, żółtych, lub w szykownych płaszczykach z szeleszczącego impregnowanego jedwabiu w szkockie kraty lub stonowane prążki, — czyż to nie miły widok? Zamiast płaszczy wełnianych w kropki z błota po pełnym temperamentu zrywie auta, — zamiast kostjumów w dwóch tonach — ten ciemniejszy spowodowany dokładnem przemoczeniem — eleganckie, kpiące z deszczu i błota twarzowe okrycia impregnowane — czyż nie nadaje to ulicy schludnego i wielkomiejskiego wyglądu?"

— Wspaniale — zawołał mój przyjaciel. Już mi nie żal naszego starego parasola... Biegnę zaraz do sklepu po taki szykowny płaszczyk z szeleszczącego, impregnowanego jedwabiu w szkockie kraty...

— To się twoja żona ucieszy! — zawołałem...

— Żona?... Ach, tak! Byłbym zapomniał... i jej też muszę coś kupić... o, wiem, jej kupię parasolkę... Gr. Mab.



Na prawo: Oryginalny płaszcz z kapuzą z impregnowanego żółtego lub piaskowego jedwabiu, który wkłada się chłodniejszą porą na kostjum.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZIELONA PAPRYKA FASZEROWANA. 5—6 dużych papryk parzy się wrzącą wodą i obciąga z wierzchniej skórki; następnie wycina się szypułkę od spodu i wyskrobuje ziarnka i włókna znajdujące się wewnątrz. Po dokładnem wypłukaniu jarzyny odstawia się ją na sicie, aby z wody osiąkła. Farsz do nadziewania: 8 dkg ryżu uduszonego na sypko miesza się z kilku łyżkami mielonej pieczeni oraz sosem z pod pieczeni i jajkiem dobrze roztrzepanem. Po skontrolowaniu czy masa dość słona, napełnia się nią wydrążone papryki, układa w rynce na podłożonem maśle, podlewa rosołem i dusi pod przykryciem. Osobno smaży się na łyżce masła małą utartą na tarle cebulkę oraz kilka pomidorów, a gdy te się rozgotują, dodaje się łyżkę mąki, szczyptę soli i cukru, zagotowuje i przeciera wprost na papryki, które w tym sosie muszą się jeszcze przez około 15 minut dusić.

PULARDA Z GRZYBKAMI. Młodą pulardę (może też być zwykła tłusta kura) dzieli się na części, posypuje solą i dusi wraz z podróbkami na maśle przez pół godziny. 10 dkg pieczarek lub innych grzybków kraje się cienko, dorzuca do mięsa i dusi pod przykryciem przez dalsze pół godziny. Gotową kurę wykłada się na półmisek, pozostałe grzybki zagęszcza się zasmażką i otacza niemi kurę. Krokietki z bułki lub ryżu albo też ziemniaczki stosują się jako dodatek.

SZCZUPAK W SOSIE CHRZANOWYM. Obczyszczonego i posolonego szczupaka piecze się na maśle w całości lub pokrajanego w dzwonka. Na dopieczeniu polewa się szczupaka ósemką śmietany rozkłuconą z paru łyżkami tartego chrzanu, który należy przed zmieszaniem ze śmietaną sparzyć wrzącą wodą i z niej wycisnąć, poczem wstawia się rybę ponownie do piecyka jeszcze na 10—15 minut. Rybę podać można z makaronem domowym, lub najcieńszym makaronem włoskim t. zw. spaghetti.

LEGOMINA Z JABŁEK. Ugotowane w wodzie z cukrem połówki jabłek, osącza się i układa w ogniotrwałem naczyniu szklanem lub porcelanowem. Na każdą połówkę kładzie się smażoną wiśnię lub malinę. Osobno uciera się (na 50 dkg jabłek) trzy żółtka z tyluż łyżkami cukru z otartą skórką cytrynową, dodaje pianę z 3 białek i 2 łyżki sypkiej mąki. Masę tę wylewa się na przygotowane jabłka, wstawia na 10—15 minut tj. do zrumienienia do piecyka i podaje wraz z naczyniem owiniętem serwetą.

KNEDELKI MORELOWE Z DROŻDŻOWEGO CIASTA. 50 dkg mąki, 2 dkg drożdży rozpuszczonych w szklance letniego mleka, troszkę soli i cukru, pół filiżanki grysiku i łyżkę roztopionego masła wybija się na tęgie ciasto, które postawione w cieple, ma wyrosnąć do podwójnej wielkości, co zwykle trwa godzinę. Następnie wykłada się ciasto na deskę (stolnicę), rozpłaszcza, kraje na małe kawałki, w które się zawija po kawałku moreli w knedelki, odstawia się na pół godziny do wyrośnięcia, poczem się je rzuca na wrzącą wodę osoloną, gotuje z jednej strony przez 4 minuty, odwraca i gotuje dalsze 4 minuty. Przy pomocy dwóch widelców wyjmuje się knedelki na półmisek, rozrywa je natychmiast, aby para z nich wyszła i nie powodowała opadnięcia ciasta. Smażoną bułeczką zmieszaną z cukrem i tłuczonemi ziarnkami pestek moreli posypuje się knedelki, polewa masłem i wydaje szybko na stół. Dłuższe przetrzymywanie w kuchni po wyjęciu z wody nie jest wskazane. Oryginalny ten przepis z dobrej kuchni dawnego Wiednia, polecamy jako rzeczywiście dobry.

SZARLOTKA BISZKOPTOWA. Tyle mąki, ile 3 jaja zaważą, cukru ile ważą 2 jaja i masła ile 1 jaje waży. Żółtko uciera się z masłem i cukrem oraz skórką startą z cytryny, potem dodaje się mąkę i pianę z trzech białek. Ciasto wlane do tortownicy piecze się szybko; po przestudzeniu nakłada się warstwę gęstej marmolady jabłecznej, przybiera z wierzchu czepkiem z piany ubitej z cukrem i zrumienia szybko w gorącym piecyku.

DOSKONAŁA MUSZTARDA POMIDOROWA. 1 dużą cebulę i 2 kg pomidorów rozgotowuje się bez dodatku wody — należy więc pilnie mieszać, aby się nie przypaliły. Po rozgotowaniu przetrzeć wszystko przez włosiane sito, dodać do przetartej masy: 15 dkg cukru, pół szklanki kremskiej musztardy, pół szklanki winnego octu, łyżeczkę soli, pół łyżeczki białego pieprzu i imbieru. Masę wlaną do naczynia kamiennego lub grubego emaljowanego bez żadnego uszkodzenia, które spowodowałoby zmianę koloru i smaku konserwy, gotuje się aż do zupełnego zgęstnienia, poczem napełnia się nią **małe** słoiki, gdyż rozpoczęty otwarty słoik musi być szybko zużyty.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Przyjmując popołudniu gości na werandzie czy w ogrodzie, uraczymy ich prawdziwie, podając czarną kawę mrożoną z bitą śmietaną, do której dodatkiem będą drobne ciasteczka i t. p. Mocną czarną kawę zamraża się silnie w lodowni i stawia w kryształowej niskiej butelce na stole, z której nalewa się ją do szerokich pucharków szklanych, przybierając każdy bitą kremówką z cukrem. Nie zapomnieć o słomkach!

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 36 — **Sierpień** — 31 dni



NIEDZIELA **28** Augustyna	Chłodnik litewski. Móżdżek z jajami. Pularda z grzybkami. Szarlotka biszkoptowa. <u>Kolacja</u>: Pieczeń sarnia na zimno z sałatką.
PONIEDZ. **29** Ścięcie św. Jana	Zupa malinowa z grzankami. Kapusta w śmietanie. Nerkówka z marchewką i groszkiem. Naleśniki z serem. <u>Kolacja</u>: Faszerowane papryki.
WTOREK **30** Róży z Limy	Rosół z kaszką. Kotlety jarzynowe z sosem szczawiowym. Kurczę w papryce z kluseczkami. Legomina z jabłek. <u>Kolacja</u>: Pierożki z borówkami.
ŚRODA **31** Rajmunda wyzn.	Borówczanka z grzankami. Budyń jarzynowy. Befsztyki z sadzonemi jajami i garniturem z jarzyn. Sałatka z owoców i keksy. <u>Kolacja</u>: Grzybki w śmietanie.
CZWARTEK **1** Idziego op.	**Wrzesień** Zupa pomidorowa czysta. Fasolka szparagowa z masłem. Dzika kaczka z buraczkami. Gruszki pieczone w kruchem cieście. <u>Kolacja</u>: Pasztet z wątróbki.
PIĄTEK **2** Stefana	Zupa śmietanowa z koprem i perłówką. Płatki z duszoną kapustą. Szczupak w sosie chrzanowym z makaronem. Knedelki drożdżowe z owocami. <u>Kolacja</u>: Wędzone ryby bałtyckie.
SOBOTA **3** Szymona Sł.	Barszcz na rosole. Naleśniki z mięsem. Duszone kotlety wieprzowe z zieloną fasolką. Kompot. <u>Kolacja</u>: Kasza hreczana z kefirem.



HOCKI-KLOCKI

W MAGAZYNIE Z OBUWIEM.



Klientka, wymierzywszy siarczysty policzek sprzedawcy:
— Ja kupuję buciki — a nie pończochy!
(„Esquire")

Rozwiązania z Nru 34-go.

SZYBKOŚĆ POCIĄGÓW.

Pierwszy pociąg jechał z szybkością 105 km na godzinę, drugi 95 km/g. W ciągu drugiej godziny odwrotnie.

KOCHAJĄCE NARZECZONE.

Zosia pisała codziennie, Stefcia co dwa dni, Janka co 4 a Irka co 5 dni. Henryk otrzymał 14, Władysław 7, Karol 4, a Zygmunt 3 listy lub kartki.

NA POSIEDZENIU.

Na posiedzeniu było 40 mężczyzn i 54 kobiety.

ZADANIE SZACHOWE.

1: b3×c4+, W f4×c4, 2: e7—e8 goniec, K e5—d6, 3: Ga2×c4 mat,

lub: 1: b3×c4+, K d5—d6, 2: e7—e8 wieża, K d5—e6, 3: W e8—e6 mat,

lub: 1: b3×c4+, K d5—c6, 2: e7—e8 hetman+, jeśli K c6—b6, 3: H e8—b5 mat, jeśli 2...., K c6—d6, 3: G h2×f4 mat,

lub: 1: b3×c4+, K d5—e6, 2: e7—e8 skoczek, dowolnie, 3: W h7—d5 mat.

Jest to, jak widzimy, jeden z bardzo oryginalnych problemów Amerykanina, W. A. Shinkmana.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PO BRIDGE'U.

Nasi znajomi Henryk, Władysław, Karol i Zygmunt grywali ze sobą raz na tydzień w bridge'a. Władysław miał przez cały miesiąc strasznego pecha. Z 19 rozegranych robrów, tylko w ostatnim uzyskał 0 punktów, a wszystkie poprzednie przegrał.

Henryk wygrał 3 razy tyle punktów, ile robrów, Karol i Zygmunt zainkasowali 3/4 przegranej Władysława, przyczem Karolowi przypadło 5 razy tyle co Zygmuntowi.

Ile wynosiły wygrane, jeśli umówiono się grać po groszu za „mały" punkt?

BRODACZE.

Typ brodatego pana zanika już w Europie. Na wczorajszem zebraniu 55% obecnych było zupełnie ogolonych, 57½% nie miało wąsów, a tylko 4 panów miało wspaniałe (ale już siwe) brody.

Ilu panów było na zebraniu?

PO ŚLUBIE.



— A tu jest nasza sypialnia, najdroższa...
(„Esquire")

LICZBA KWADRATOWA I SZEŚCIENNA

Proponujemy Czytelnikom znaleźć najmniejszą liczbę, z której można wyciągnąć pierwiastek drugiego i trzeciego stopnia. Oczywiście najmniejszemi liczbami, spełniającemi wymagane warunki są 1 i 64. A która jest następna liczba?

TAJEMNICE HIGH-LIFE'U.

LEKCJA BON TONU

HUMORESKA BOGDANA BRZEZIŃSKIEGO

Dziaduś pogładził długą siwą brodę, pyknął z krótkiej, czarnej fajeczki i powiedział, zastanawiając się nad każdem słowem:

— Widzisz, wnuku... Wchodzisz w świat. Mówisz, że będziesz bywał w domach ludzi, należących do „wyższych dziesięciu tysięcy". Prosisz mnie, żebym udzielił ci kilku wskazówek, jak się masz u nich zachować... Słuchaj więc, mój wnuku...

Młody człowiek, nazwany przed chwilą dwukrotnie wnukiem, jak mówią poeci: „zamienił się w słuch", a dziaduś znów pogładził z godnością swą wspaniałą brodę, pyknął z fajeczki i zaczął lekcję dobrego tonu:

— Gdy zaproszą cię, powiedzmy, na godzinę ósmą wieczorem, nigdy nie należy się śpieszyć. Nie jesteś przecież pociągiem pośpiesznym, żebyś musiał przyjść punktualnie co do minuty. Jeśli przyjdziesz kilka minut po dziewiątej, będzie w sam raz. Otworzy ci drzwi pokojówka. Wówczas należy uszczypnąć ją w policzek i powiedzieć niedbale:

— Jak się masz, mała.

Potem spoglądasz na buciki, a jeśli są zakurzone, możesz oczyścić je portjerą, albo płaszczem gospodarza domu. Powinno się jednak uważać, żeby nie używać do tego celu okryć gości, gdyż można mieć nieprzyjemność towarzyską. Następnie wchodzisz do salonu i już od progu wołasz: „A kuku! Jak się macie, pyski kochane! Co podsłuchiwać?". Odrazu towarzystwo pozna, że humor nie jest dla ciebie obcą dziedziną. Potem podchodzisz do pani domu, obcierasz ostentacyjnie usta, mrugając przytem znacząco, jakbyś miał za chwilę ucałować się z tą damą — ale poprzestajesz narazie na ucałowaniu rączki. Wypada przy tej okazji coś powiedzieć, naprzykład:

— Dobrze mi wyglądasz, stara małpo! Najwyżej wyglądasz na pięćdziesiątkę!

Po chwili możesz dodać swobodnie:

— Ale nie martw się, mamunciu, podobno jakiś amerykański pisarz — Papkin, czy Cypkin, bo już nie pamiętam — powiedział, że życie zaczyna się dopiero po czterdziestce... Wobec tego ma pani właściwie zaledwie 10 lat... Mała, idź spać do dziecinnego pokoju, bo już późno! He, he, he!

Salwa śmiechu będzie odpowiedzią na twój wyborny i subtelny dowcip.

Towarzyską rozmowę w salonie również należy zaprawić jędrnym dowcipem. Gdy jakiś starszy jegomość powie naprzykład, że choćby miał na głowie stanąć, musi zdobyć rękę młodej, ukochanej kobiety, możesz wówczas odpowiedzieć z figlarnym uśmiechem:

— Oho, panie starszy, radzę nie stawać na głowie, bo może się pan poślizgnąć na łysinie!

Z salonu przejdziecie do jadalni.

Gdy oznajmią: „podano do stołu" — możesz zawołać wesoło:

— No, wreszcie! Teraz sobie, proszę państwa, coś smacznego wbijemy w krzyże, a potem sobie potańczymy.

Przy stole należy zabawiać sąsiadki i dbać, żeby stale miały jedzenie na talerzu i trunki w kieliszkach. Jeśli młoda dama, twoja sąsiadka, dziękuje za jedzenie, tłumacząc, że jest już syta, możesz powiedzieć niby półgłosem, ale tak, żeby wszyscy słyszeli:

— Co? Obawia się pani p o k a r m u?...

Rybę trzeba jeść nożem, aby dać dowód, że się nie jest przesądnym. Jedząc drób, najlepiej trzymać nieboszczkę kurę, lub kaczkę za nogę i obgryzać ociekające tłuszczykiem mięsko z lekkiem glamaniem, obcierając oczywiście palce w obrus. Dobrym żartem będzie, gdy przechylimy się przez stół i do siedzącej vis à vis damy zawołamy:

— O, pani dobrodziejka powalała się na gorsie!

A gdy dama skłoni siwą głowę, aby sprawdzić, czy tak jest w istocie, wówczas pociągamy ją szybko za nos, wołając:

— A to się babcia kiwnęła!

— — — — — — — — —

Dziaduś przerwał, aby pyknąć kilka razy ze swej ulubionej czarnej fajeczki. Wnuk siedział zlekka pobladły, patrząc na dziadka z przerażeniem.

— Tak więc, mój wnuku — podjął znów dziaduś — jeśli n i e b ę d z i e s z t a k p o s t ę p o w a ł, jak ci przed chwilą opowiadałem, możesz być pewny, że nikt ci nie zarzuci złego wychowania!

To rzekłszy, doświadczony dziaduś z łagodnym uśmiechem pogładził swą długą, siwą brodę.

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NA SCENIE
I ESTRADZIE

Balet „Tanagra", propagujący wyłącznie polskie tańce ludowe na tournee po kraju, występuje obecnie z wielkiem powodzeniem **w Krakowie,** na scenie **„Domu Żołnierza".** Jego twórca i kierownik **p. T. Maleko** kształcił się w szkole baletowej Krzesińskiej, skąd wyniósł wysokie umiejętności taneczne. Wyruszył on potem w objazd po Europie. W Paryżu występował w wielkich teatrach rewjowych na czele własnego zespołu, zyskując wszędzie aplauz widowni i przychylne głosy francuskiej krytyki. Wróciwszy do kraju, zmienił zespół i dalszą pracę oparł na propagandzie tańców regjonalnych. Balet „Tanagra" występuje w wspaniałych kostjumach, wiernie opartych na wzorach kolbergowskich, imponujących bogactwem autentycznych, ludowych materjałów. Strona choreograficzna zespołu przedstawia się bez zarzutu.

NOWE KSIĄŻKI

Pod tytułem **„Imago Poloniae"** zasłużona księgarnia krakowska Marjana Krzyżanowskiego wydała w jubileuszowym roku Matejki, przepiękny album na bezdrzewnym papierze, wykonany starannym drukiem wklęsłym, przez doświadczoną artystyczną tłocznię, „Drukarnię Narodową". Słowo wstępne obejmujące w syntetycznym skrócie życie i dzieła Jana Matejki, napisał dr Edward Łepkowski. Wielką zaletą wydawnictwa jest doskonały wybór ilustracji z najznakomitszych dzieł wielkiego malarza, oraz fragmentów z poszczególnych kompozycyj, pozwalający rozkoszować się każdym kwadratowym centimetrem, w który włożył twórca ogrom malarskiej pracy. „Imago Poloniae" stać się powinno najmilszym podarkiem w matejkowskim roku, nie tylko dla młodzieży, lecz dla miłośników talentu genjalnego mistrza, których zastęp powiększa się, mimo napaści żywiołów wrogich polskiej kulturze artystycznej.

MDD.

TEATR W ETERZE

Wśród zagadnień teatralnych, rozważanych rok rocznie w Polsce przed nowym sezonem, rzadko kto zwraca uwagę, że prócz teatrów, do których uczęszczamy, a raczej winniśmy uczęszczać i prócz ich repertuarów, istnieje Teatr Wyobraźni, teatr, do którego nie trzeba przychodzić, a który na odwrót, sam przychodzi do naszych mieszkań. Teatr Wyobraźni powstał jako swoista forma współpracy sztuki z techniką w miarę doskonalenia się radja — i oczywiście w miarę doskonalenia się wymagań słuchaczy w stosunku do radja — Teatr Wyobraźni rozwijał się coraz bardziej i znajdował swoje, sobie tylko właściwe, odrębne od teatru scenicznego oblicze.

Jeśli chodzi o Polski Teatr Wyobraźni — to nasza radjofonja zajmuje jedno z pierwszych miejsc na świecie. Zostało to stwierdzone wielokrotnie w opinjach przedstawicieli radjofonji zagranicznej — i dlatego mało kto wie o tem. Trudno rozdzielać zasługi na ten stan współczesnego Teatru Wyobraźni. Niewątpliwie zasługa to doskonałego materjału aktorskiego, jaki udało się przyciągnąć do pracy przed mikrofonem, dobrych i umiejących odczuć potrzeby radja reżyserów, utalentowanych autorów, oraz ambicji samej radjofonji, która zdobyła się na odwagę, aby mierzyć siły na zamiary.

Każde słuchowisko Polskiego Radja — to rewja gwiazd pierwszej wielkości. Autor, aktor, reżyser i technik radjowy podają sobie ręce, aby stworzyć wartościową rzecz, która przecież nie trwa dłużej, niż pół godziny i, która rzadko kiedy jest powtarzana. A jednak ten wysiłek opłaca się, bo nie wszyscy mieszkają w Warszawie, czy innem mieście, które posiada teatr. Jeśli są słuchacze, dla których Teatr Wyobraźni stwarza nowe, inne wzruszenia, niż teatr na scenie, to w każdym razie dla nich słuchowisko jest tylko uzupełnieniem tego teatru, który skłonni jesteśmy nazywać prawdziwym. Ale dla całej reszty kraju Teatr Wyobraźni to nie „uzupełnienie", to — wszystko. Tylko audycje Teatru Wyobraźni dają naszym małym miasteczkom i naszym wsiom magję teatru, tylko one pozwalają im odczuć piękno dramatycznego dialogu i cieszyć się życiem postaci, zrodzonych w wyobraźni autora, aby żyły w wyobraźni słuchacza.

Jest w Teatrze Wyobraźni i siła i słabość. Siła leży w potędze słowa, które nigdy przed radjem nie miało tak licznej widowni, szacowanej na setki tysięcy osób, słabość w tem, że pozbawione feerji scenicznej wymaga większej, niż w teatrze uwagi ze strony słuchacza.

Możnaby sądzić, że radjo stwarzając nowy warsztat twórczej pracy, o który u nas przecież nie jest łatwo, napotka na zachętę i współdziałanie. Tymczasem dzieje ostatnich kilku sezonów, to nieprzerwane pasmo starań o manuskrypty wśród autorów, przekonywanie reżyserów, przyzwyczajanie aktorów do mikrofonu itd. Kilkanaście zebrań dyskusyjnych, na których trzeba było tłumaczyć, objaśniać, pokazywać, niemal agitować o zbliżenie się do radja i o współpracę. Ale trudy podjęte przez dyrekcję programową radja opłaciły się. Przecież nikt inny, a właśnie Teatr Wyobraźni zdobył się na śmiały zamiar nadania dla całej Polski całego Fredry. To już nie repertuar, to czyn kulturalny, godny najwyższej pochwały.

Oczywiście, słuchając radja, słuchając fragmentarycznie, nie zdają sobie sprawy, że w ciągu ostatniego roku na 394 słuchowisk, nadanych w Teatrze Wyobraźni, 336 słuchowisk napisanych było przez autorów polskich, a tylko 58 wyszło z pod piór obcych. I do tego jeszcze te obce słuchowiska, nadane przez Polskie Radjo, to w najszlachetniejszym stylu kompensacja, bo w zamian za nie udało się w kilkunastu radjofonjach zagranicznych zrealizować scenarjusze polskiego Teatru Wyobraźni.

Nazwiska? Z koryfeuszów polskiego teatru prawie wszyscy: Bałucki, Bliziński, Fredro (na razie nadano: „Pierwsza lepsza", „Dożywocie", „Śluby panieńskie", „Damy i huzary", „Pan Geldhab", „Świeczka zgasła", „Zrzęda i przekora", „Pan Jowialski", „Koncert", „Zemsta" (Iwaszkiewicza), „Wakacje w Nohant", które z przed mikrofonu poszły na scenę i święciły tam kilkumiesięczne triumfy), Jasnorzewska-Pawlikowska (cztery sztuki), Mickiewicz, Miłszewski („Pokłon za zwycięstwo", „Bunt Absalona"), Morozowicz-Szczepkowska, Norwid, Perzyński, Rittner („Wilki w nocy", „Głupi Jakób"), Rostworowski, Słowacki, Staff, Syrokomla, Szaniawski, Szemplińska-Sobolewska, Trombecki, Tetmajer, Wyspiański, Żeromski — wyliczając alfabetycznie i tylko najważniejsze spośród trzystu nazwisk.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 28 sierpnia.

12.03 Poranek symfoniczny — pod dyr. Grzegorza Fitelberga.
16.30 „Stradivarius" — komedja.
17.00 Recital Hermana von Beckerath — viola da gamba.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie: „Asy programowe".
20.05 „Ottorino Respighi" — koncert.
22.00 „Kominiarz i młynarz" czyli „Zwalanie się wieży".

Poniedziałek, 29 sierpnia.

18.10 Karol Marja Weber: Warjacje klarnetowe.
19.05 Chór Koła Młodzieży „Siew" z Krasienina.
21.10 Koncert rozrywkowy p. t. „Dookoła miłości".
22.00 Pięć wieków dawnej muzyki, XII audycja.

Wtorek, 30 sierpnia.

16.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Salon. Rozgłośni Poznańskiej.
18.10 Recital Mieczysława Szaleskiego (altówka).
19.00 Recital śpiewaczy Stanisława Drabika.
22.20 Muzyka współczesna.

Środa, 31 sierpnia.

16.00 „Tak śpiewał Szaljapin" — II-gi reportaż muzyczny.
18.10 Recital wiolonczelowy Tad. Lifana.
19.00 Muzyka lekka. — Transmisja z Londynu.
21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Zofji Rabcewiczowej.
22.00 Muzyka kameralna — „Od Haydna do Ravela" (IX audycja).

Czwartek, 1 września.

16.00 Koncert solistów.
18.00 Muzyka skandynawska.
19.00 Z naszych pieśni — koncert Chóru Kolejarzy „Hasło" — z Bydgoszczy.
22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, 2 września.

16.00 Muzyka operetkowa.
19.00 Recital śpiewaczy Józefa Korolkiewicza.
19.30 „Radca Stroń na Wystawie Radjowej" — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, 3 września.

16.45 „Wywczasy letnie dawniej, a dziś" — feljeton.
18.10 Koncert solistów.
19.30 Koncert rozrywkowy.
22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.